# POLSKA WALCZĄCA

## ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — POLISH WEEKLY — PRICE SIXPENCE (in U.S.A. and Canada 5c.)

Wychodzi co tydzień | Dnia 14 czerwca 1947 r | Rok IX. Nr. 23


✝

ś. p.

# WŁADYSŁAW RACZKIEWICZ

**Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej**

zmarł dnia 6 czerwca 1947 wieczorem w Ruthin Castle w północnej Walii

***Objął urząd w chwili, gdy Kraj nasz padł pod przemocą niemiecką, przez cały czas drugiej wojny światowej z niezachwianą godnością, najpierw na ziemi francuskiej, później na ziemi brytyjskiej, reprezentował wolę narodu polskiego do walki z najeźdźcą, gdy zaś zwycięski koniec wojny nie spełnił pokładanych nadziei, przeciw drugiemu najeźdźcy nieugięcie bronił całości i niepodległości Polski. Jej praw i Jej honoru, trudem swoim zasłużył sobie na wdzięczną pamięć wszystkich Polaków.***

# Prezydent Polski Walczącej

PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ nie żyje.

Odszedł ten, z którego imieniem od katastrofy wrześniowej 1939 roku po dzień dzisiejszy związane były losy Polski Walczącej. Jej Prezydent. Z imieniem Władysława Raczkiewicza przez te długie lata zmagania się z losem przeciwnym związana była ciągłość legalna naszej suwerenności państwowej, utrzymująca się wbrew zaborcom, a później wbrew werdyktom trzech mocarstw.

Ale Prezydent Władysław Raczkiewicz nie był tylko symboliczną Głową Państwa, symbolicznym zwierzchnikiem Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej, symbolem żywym Jej trwania, powiernikiem Jej praw. Był po dni ostatnie swego życia przewodnikiem i sternikiem.

Zanim przyszło mu objąć na tułactwie, w dni klęski urząd Prezydenta Rzeczypospolitej, był przez długie lata nieprzerwanie jednym z wybitnych Jej sług. Współtwórca wojska polskiego na Wschodzie w 1917 roku, organizator administracji polskiej na ziemiach wschodnich, był później czterokrotnie ministrem, czterokrotnie wojewodą, przez kilka lat marszałkiem Senatu.

Ze służb tych wyniósł ogromne doświadczenie w sprawach państwowych, znajomość gruntowną i wszechstronną, wielką umiejętność kierowniczą. Wnosił w nie troskliwą dbałość o dobro kraju, o zamiłowanie do porządku prawnego i zgody domowej, ducha pojednawczości i umiaru, a zarazem upór i ząciętą wolę w tym, co za istotne uważał. Jego służba administracyjna związała go zarówno z wschodem Polski, jak z jej ziemiami zachodnimi. Działalnością społeczną związał się z Polonią Zagraniczną. Wielkie te wartości wnosił ś.p. Prezydent do swego urzędu, i większe od nich: silne poczucie odpowiedzialności za sprawę narodową, ofiarne poczucie obowiązku, czułą dbałość o godność państwa, jego suwerenność i niezależność, o honor narodowy.

W ciągu pierwszych lat wojny obok Prezydenta Raczkiewicza stał generał Sikorski jako Prezes Rady Ministrów i Wódz Naczelny, sprawując wraz z Rządem pełnię władzy wykonawczej. Wpływ Prezydenta na bieg spraw zaznaczał się tylko w pewnych okazjach. Nie oznaczało to, by nie czuwał on nad pracami Rządu i, szczególniej troskliwie i czujnie, nad losami wojska. Bywały między nim a generałem Sikorskim różnice zdań, nawet poważne rozdźwięki, zwłaszcza w związku z rokowaniami o układ z Rosją latem 1941 roku.

Schodzili się jednak zazwyczaj w sprawach zasadniczych; łączyła ich decyzja udziału Polski w wojnie z Niemcami z wysiłkiem maksymalnym, całym rozporządzalnym potencjałem, decyzja utrzymania i umocnienia sojuszu i przyjaźni z Zachodem, dążenie do zdobycia amerykańskiej pomocy i oparcia dla Polski i Europy, szukanie tam zabezpieczenia Polski przed ewentualnymi zagrożeniami od Wschodu i zrozumienia dla naszych celów wojennych na Zachodzie. W ostatnim okresie życia generała Sikorskiego rozbieżności między nim a Prezydentem zanikały, postępowało zbliżenie i zacieśniało się współdziałanie.

Po zgonie generała Sikorskiego, gdy urzędy Prezesa Rady Ministrów i Naczelnego Wodza nie były już połączone w jednym ręku, Prezydent Rzeczypospolitej stał się niezbędnym czynnikiem koordynacji, zapewniającym jedność działania w prowadzeniu wojny. Najpoważniejsze decyzje w najtrudniejszych sprawach dojrzewały w jego gabinecie, często w długich, nocnych naradach, albo o niego się opierały.

Rok 1944 przyniósł zagrożenie Polski okupacją i zaborem od wschodu. W sytuacji niewypowiedzianie ciężkiej znalazła się polityka Polski, już poświęconej w Teheranie na ołtarzu zgody między wielkimi aliantami. Co raz większa wytwarzała się rozbieżność pomiędzy przekonaniem Prezydenta, odrzucającego próby kompromisu kosztem całości państwa i jego suwerenności, a posunięciami premiera, wierzącego, że tą drogą zdoła ocalić jaką taką samodzielność państwa i część przynajmniej ziem wschodnich.

Gdy w listopadzie polityka ta załamała się z powodu niewiary w nią w samym Rządzie, nastąpiła dymisja premiera Mikołajczyka, Prezydent powołał Rząd premiera Arciszewskiego, jako Rząd „obrony suwerennych praw Rzplitej“, Rząd walki o wolność, całość, niepodległość.

Odtąd kierownicza rola Prezydenta wystąpiła w całej pełni. Czuwał on wraz z Rządem nad groźnie rozwijającą się sytuacją, nie pomijając żadnej okazji protestu przeciw podeptaniu praw naszych, przeciw pokrzywdzeniu Polski, gwałtom dokonywanym w Kraju i narzuconej mu ręką obcą władzy agentów obcego mocarstwa.

A protestując przeciw polityce Teheranu, Jałty, Poczdamu, czuwał zarazem nad tym, by utrzymać braterstwo broni i przyjaźni między narodem naszym a narodami Zachodu wbrew wszystkim krzywdom, wyrządzonym nam przez politykę ich rządów. Tak więc po Jałcie wraz z ostrym protestem Prezydenta i Rządu poszło wezwanie do naszych Sił Zbrojnych, by nie osłabły w spełnianiu swych powinności bojowych w walce z Niemcami, aż do końca zachowując braterstwo z Brytyjczykami, Amerykanami, Francuzami i innymi sojuszniczymi towarzyszami broni.

Dzięki tej decyzji wojska nasze zwyciężały pod Bolonią, postępowały zwycięsko w Niemczech północnych, a lotnictwo i marynarka walczyły codziennie aż do powalenia wroga. I chociaż nie dało to Polsce natychmiastowych korzyści, ś.p. Prezydent zawsze mocno był przekonany, że taka postawa z naszej strony w walce o wspólną sprawę ma nieocenioną wartość na przyszłość i przyjdzie czas, gdy plony przyniesie.

Prezydent Raczkiewicz był kiedyś żołnierzem, miał serce dla żołnierzy. Rolę swoją Zwierzchnika Sił Zbrojnych pełnił z właściwą mu skrupulatną dbałością. Wiele radości sprawiał mu osobisty kontakt z oddziałami, odwiedziny obozów, stacyj, okrętów. Gdy później okoliczności stanęły na przeszkodzie, ciągle najtroskliwiej wglądał w położenie Sił Zbrojnych, przejęty ich przejściami. Do ostatniej chwili nie przestawał myślą i troską ogarniać wszystkich żołnierzy Rzeczypospolitej — tych na obczyźnie i tych w Kraju.

W okresie „Burzy“ i powstania Warszawy czynny był niestrudzenie w dobijaniu się o uznanie praw kombatanckich dla Armii Krajowej, w zabiegach o pomoc i osłonę dla niej przed gwałtami ze strony wschodniego alianta. W ostatnie, niemniej tragiczne powojenne lata myśl jego nieustannie biegła ku żołnierzom naszym, których los był najcięższy — ku żołnierzom Armii Krajowej w Kraju czy w obozach byłych jeńców w Niemczech czy na okrutnym wygnaniu na Wschód, ku „wrześniowcom“ i wszystkim tym, którym nie było dane dołączyć się do Sił Zbrojnych na obczyźnie. W ciężkiej chorobie z niezmiernym wysiłkiem ducha poświęcał godziny myśli i pracy ich losom.

Choroba trawiła go od lat. Od wielu miesięcy groźne poczyniła spustoszenia. Ś.p. Prezydent niemoc fizyczną przezwyciężał moralną siłą, by literalnie do ostatniego tchu służyć Sprawie. Jak żołnierz ze śmiercią w oczach trwający na posterunku.

Nie opuszczała go wiara w sprawiedliwość dziejową. Z otuchą widział narastające na Zachodzie zrozumienie groźnej rzeczywistości powojennego świata, narastające siły oporu. Ze wzruszeniem przyjmował wieści o niezmożonej sile moralnej, z jaką Kraj stawia czoło naciskowi i terorowi narzuconych rządów.

Jasno też widział, jak w chwili dzisiejszej rozkładają się zadania między Kraj i Emigrację: dla Kraju zadanie przetrwania z zachowaniem ducha narodowego, dla Emigracji zadanie, by swym istnieniem samym i całą działalnością dopominała się wobec świata o krzywdę Ojczyzny, o jej prawo, o miejsce dla niej wśród wolnych narodów.

Na tej drodze utrzymać chciał Emigrację zjednoczoną, solidarną, przenikniętą duchem wzajemnego wyrozumienia i bratniej zgody, a ząciętą i nieustępliwą w walce o naszą słuszną sprawę. Na masy żołnierskie, pozostające na obczyźnie, spoglądał z wdzięcznością za ich wierność sprawie i z wiarą, że ofiary ich nie mogą być daremne.

Z tą wiarą odszedł nas Najwyższy Zwierzchnik Sił Zbrojnych. Nie wiemy, czy przed jego trumną pochylą się wszystkie orły naszych sztandarów, choć wiemy, że wszystkie okryje ciężka żałoba. Nie zagrzmią teraz ku jego czci polskie działa. Ale nadejdzie i dla niego chwila powrotu i witać go będzie ziemia ojczysta rozdzwoniona i drżąca od wystrzałów, by przygarnąć prochy tego wiernego syna, sługi i żołnierza.

MARIAN KUKIEL

★ ★ ★

*Ś.p. Władysław Raczkiewicz urodził się w roku 1885, na ziemi rosyjskiej, na Kaukazie, gdzie osiedlił się jego dziad, uczestnik powstania styczniowego i zesłaniec polityczny. Studiował prawo na uniwersytecie w Petersburgu i Dorpacie (Tartu w dzisiejszej Estonii) Brał udział w pracy akademickich organizacji niepodległościowych i ściągnął na siebie prześladowania władz carskich. Po ukończeniu studiów praktykował jako adwokat w Mińsku Litewskim. W latach 1914–17 został zmobilizowany do armii rosyjskiej. W czerwcu 1917 roku przewodniczył Zjazdowi Polaków, służących w szeregach carskich, który odbył się w Petersburgu i zapoczątkował tworzenie jednostek wojska polskiego pod dowództwem generała Dowbora-Muśnickiego.*

*Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości przeszedł do administracji cywilno-wojskowej ziem wschodnich, przez pewien czas stał na czele zarządu tymczasowego tych ziem. W latach 1921–35 zajmował wiele wysokich stanowisk. Był czterokrotnie ministrem spraw wewnętrznych. W rozmaitych okresach sprawował urząd wojewody nowogródzkiego, wileńskiego, krakowskiego i pomorskiego. W latach 1930–35 był marszałkiem Senatu. W tym samym czasie stał na czele Związku Polaków Zagranicą. W roku 1933 jako prezes tego związku odwiedził kolonie polskie w Ameryce Południowej.*

*We wrześniu 1939 roku zgodnie z konstytucją kwietniową objął poza granicami Kraju najwyższy urząd Prezydenta Rzeczypospolitej i przez blisko osiem lat był reprezentantem suwerennego państwa polskiego oraz najwyższym zwierzchnikiem jego Sił Zbrojnych. które wsławiły się na tylu polach bitew, w walce podziemnej, na morzu i w powietrzu. Po zjeździe w Jałcie i cofnięciu uznania legalnym władzom polskim z niezachwianą konsekwencją trwał na stanowisku obrony praw Polski do niepodległości i nienaruszalności jej terytorium.*

*Przegląd tygodniowy*

# Moskwa i Waszyngton walczą o inicjatywę

### KTO PRZEŁAMIE FRONT?

Jak w każdej wojnie, tak i w toczącej się dziś w świecie wojnie politycznej każda ze stron usiłuje zdobyć względnie utrzymać inicjatywę w swych rękach. Każda też pragnie być w ofensywie wiedząc, że defensywą wygrać nie może. Każda chciałaby przełamać front nieprzyjacielski.

W chwili obecnej jesteśmy świadkami kontrofensywy sowieckiej, aczkolwiek nie znaczy to, by St. Zjednoczone były całkowicie w defensywie. Walka o inicjatywę staje się z dniem każdym bardziej zacięta, przy czym wciąż jeszcze nie jest przesądzone, która ze stron zdoła przełamać front rozdzielający je i noszący miano „żelaznej kurtyny".

Jak już wielokrotnie ostatnio podkreślaliśmy na tym miejscu, rysem charakterystycznym polityki zarówno sowieckiej, jak i amerykańskiej jest, że jedna i druga ogranicza się do konsolidacji swej własnej strefy wpływów. Sowiety największy wysiłek wkładają w umocnienie swego panowania nad Węgrami i Bułgarią. Być może podejmą podobny wysiłek w stosunku do Czechosłowacji, która stanowi teraz już ostatni kraj stosunkowo wolny w strefie sowieckiej, a nawet jest do pewnego stopnia „ziemią niczyją" pomiędzy Wschodem, a Zachodem. Ze swej strony St. Zjednoczone wciąż przede wszystkim myślą o zabezpieczeniu przed popadnięciem pod wpływy sowieckie tej części Europy i Azji, która jest jeszcze wolna.

Stąd też dramatyczne pytanie dla nas, Polaków. Jak mamy się ustosunkować do obecnych wydarzeń w świecie? Czy uważać za rzecz pomyślną dla sprawy polskiej, że organizuje się ta część świata, która jest wolna, czy też stać na stanowisku, że skoro wszystkie wydarzenia obecne prowadzą do utrwalania się podziału Europy, z nieszczęsnym układem w Teheranie, a więc do wzmocnienia władzy sowieckiej w Polsce, to trzeba je uważać za rzecz ujemną?

### Z POLSKIEGO PUNKTU WIDZENIA

Zagadnienie z pewnością nie jest proste. Sam w sobie podział na strefy wpływów jest z polskiego punktu widzenia niepożądany. Usunięcie komunistów z rządu francuskiego czy włoskiego niczego nam bezpośrednio nie daje. Blok zachodni, który by oznaczał utrwalenie i pogodzenie się z blokiem wschodnim, byłby sprzeczny z interesem polskim. Ideałem naszym jest obalenie przegrody dzielącej Europ na dwie części, tak aby Polska znowu była wolna.

Ale jaka jest druga możliwość? Recepta niektórych kół *Labour Party* na zapobieżenie podziałowi Europy polega na zachowaniu kontaktów z Europą wschodnią, handlowaniu z nią i liczeniu, że w ten sposób z czasem „żelazna kurtyna" zostanie podniesiona. Koła te w rezultacie przeciwne są organizowaniu Europy zachodniej i potępiają plany Churchilla, ponieważ wykluczają one udział Rosji. Ale ich polityka prowadziłaby jedynie do konsolidowania bloku wschodniego, podczas gdy narody Europy zachodniej pozostawałyby niezorganizowane. Narodom ujarzmionym przez Sowiety nic by z tego nie przyszło.

Wydaje się, że zanim możliwa będzie energiczna akcja na rzecz uwolnienia Europy wschodniej, musimy przejść przez etap zorganizowania Europy zachodniej. Dlatego trzeba to uważać za mniejsze zło, niż stan, który istniał dotychczas, kiedy to mówiło się, że „świat jest jeden", a w rzeczywistości był on podzielony na zorganizowaną część wschodnią i niezorganizowaną część zachodnią.

Podział Europy i świata byłby dla nas tragiczny, gdyby miał być trwały. Ale jest rzeczą wysoce nieprawdopodobną, by mógł on trwać. Każda ze stron zdaje sobie z tego sprawę, że w końcu albo cały świat będzie wolny albo cały — totalitarny i sowiecki. Dlatego choć chwilowo z naszego punktu widzenia utrwalanie podziału jest niepomyślne, to na dalszą metę wróży większe szanse uwolnienia Polski, niżeli stan dotychczasowy.

### OD SŁÓW DO CZYNÓW

Obie strony zresztą nie szczędzą wysiłków, by przełamać się do strefy nieprzyjaciela. Rosja bynajmniej nie ogranicza się do konsolidowania panowania na Węgrzech, likwidowania opozycji w Bułgarii i Rumunii i td. Jednocześnie strajkami próbuje obalić rząd francuski, mobilizuje siły do obalenia — nawet akcją zbrojną — antykomunistycznego rządu we Włoszech, i wzmaga ofensywę przeciw Grecji, na której teren kierowana jest ponoć brygada międzynarodowa organizowana według wzorów hiszpańskich. W Chinach komuniści są też w ofensywie.

Ze swej strony St. Zjednoczone podjęły próbę walki o niepodległość Węgier. Podczas gdy jeszcze parę miesięcy temu w sprawie sfałszowanych wyborów w Polsce, ograniczyły się do protestów słownych, to teraz prez. Truman zapewnia kategorycznie, że St. Zjednoczone „nie będą przypatrywały się bezczynnie" sowieckim gwałtom na Węgrzech. Na razie trudno jest jeszcze przewidzieć jaką formę przybierze dalsza akcja amerykańska; samo odwołanie się do ONZ, o czym jest obecnie mowa, nie wystarczyłoby, gdyż przedłożenie sprawy Radzie Bezpieczeństwa po to tylko, by *veto* sowieckie przeszkodziło dalszej akcji, nie na wiele by się zdało. Dlatego gdy amerykańscy mężowie stanu mówią o przejściu od słów do czynów, to trzeba poczekać z oceną na to, jak stanowcze będą owe czyny.

### PLAN MARSHALLA

Na tym tle wypada też rozpatrzeć najważniejsze może wydarzenie ub. tygodnia, a mianowicie przemówienie p. Marshalla na temat pomocy amerykańskiej dla Europy. Jest to nowy etap polityki, której pierwszą fazą była „doktryna Trumana" i pomoc dla Grecji i Turcji.

St. Zjednoczone uznały, że tego rodzaju łatanie dziur, jakim była pomoc dla obu tych krajów, nie jest racjonalne i że kosztować będzie zbyt wiele. Stąd postulat Marshalla, by państwa Europy — „pewna ich liczba jeśli nie wszystkie" — ustaliły wspólny program odbudowy gospodarczej, a St. Zjednoczone program ten poprą swymi dolarami.

Ale oczywiście wspólny program gospodarczy wymaga pewnego minimum współpracy politycznej. Nie można planować wspólnie, jeśli nie ma się do siebie zaufania i nie dąży do tych samych celów. Nie można sobie wyobrazić np. unii celnej bez daleko idącego porozumienia politycznego. Dlatego też plan Marshalla wymaga bliskiej współpracy politycznej państw biorących w nim udział. Nie można się więc dziwić, że komuniści od razu podnieśli wrzask, iż Ameryka dąży do bloku zachodniego i śpieszy w sukurs Churchillowi.

Niebawem powinno się wyjaśnić, czy rzeczywiście Waszyngton zamierza ograniczyć się do zachodniej części Europy. Obecny projekt p. Marshalla opiera się, jak się zdaje, na tezach głoszonych przez znanego publicystę amerykańskiego Waltera Lippmanna, ten zaś domagał się, by St. Zjednoczone wystąpiły z planem unii gospodarczej całej Europy, łącznie z jej częścią wschodnią, usiłując uzyskać na to zgodę Sowietów przez ustępstwa w sprawie odszkodowań niemieckich.

Jest więc rzeczą możliwą, że niektóre państwa Europy wschodniej, jak Polska i Czechosłowacja, zostaną zaproszone na konferencję, którą W. Brytania w porozumieniu ze St. Zjednoczonymi mogłaby w tej sprawie zwołać. Inna rzecz, że szanse, by Rosja pozwoliła swym satelitom na wzięcie udziału w takiej konferencji, z której sama byłaby wykluczona, wydają się minimalne.

### LEPSZE PERSPEKTYWY W INDIACH

Duża odpowiedzialność ciąży tu na W. Brytanii, która nie może pozwolić, by ta śmiała inicjatywa amerykańska rozbiła się wskutek manewrów komunistycznych. W. Brytania ma obecnie szansę organizowania Europy w oparciu o St. Zjednoczone i byłoby rzeczą tragiczną, gdyby ją zmarnowała z obawy nienarażania się Rosji.

Należy się spodziewać, że w Europie Brytyjczycy pokażą równie imponującą mądrość stanu, jakiej dali ostatnio dowód w Indiach. Sytuacja tam jeszcze niedawno wydawała się bez wyjścia. Przywódcy indyjscy zgodni byli tylko co do konieczności wycofania się Brytyjczyków, pomimo iż w braku porozumienia do przyszłości politycznej kraju oznaczałoby to niechybną wojnę domową i powstanie próżni, która by zachęcała Rosjan do wkroczenia.

Teraz niebezpieczeństwa te wydają się zażegnane. Indie podzielone będą na dwa państwa: Hindustan i Pakistan, ale oba pozostaną tymczasem w Brytyjskiej Wspólnocie Narodów w charakterze Dominiów. Oba nowe państwa mogą później, po ostatecznym ukonstytuowaniu się, wystąpić i stać się całkowicie niezależnymi republikami, ale jest rzeczą dość prawdopodobną, że oba pozostaną w Brytyjskiej Wspólnocie Narodów jako niepodległe Dominia.

Londyn, 8 czerwca 1947.

*ALEKSANDER BORAY*

# W oczach obcych

„*Observer*" z ostatniej niedzieli dostarcza dowodu, jak daleko zaszło pomieszanie pojęć w W. Brytanii i jak wielka jest tu zdolność zamykania oczu na rzeczywistość. Oto na marginesie planu Marshalla pomocy dla Europy wielkie pismo niedzielne rozpatruje zagadnienie, jakie kraje Europy wschodniej zostaną objęte planem, o ile przyjęta będzie zasada, że dopuszczone są tylko kraje demokratyczne, i odpowiada:

„*Czechosłowacja i Polska mogą być uznane za demokratyczne, natomiast Bułgaria, Węgry, Jugosławia i Rumunia prawdopodobnie nie zdołają się zakwalifikować jako takie*".

Tak więc „*Observer*" nagle odkrył, że Polska rządzona przez Bieruta, Cyrankiewicza i Radkiewicza, jest demokratyczna! Wiadomo, że w oczach komunistów reżym warszawski jest prawdziwą demokracją, ale dla nich również reżym Grozy czy nowy rząd Węgier, czy wreszcie tyrania Tity lub dyktatura Dimitrowa są ideałem nowej „demokracji". Są więc przynajmniej konsekwentni w swych poglądach. Ale „*Observer*", uznając dyktaturę Bezpieki jako demokrację, natomiast odmawiając tego miana reżymowi węgierskiemu jest najdalszy od konsekwencji.

Przecież na Węgrzech ostatnio dopiero stało się to, co już dawno nastąpiło w Polsce, a mianowicie narzucony został rząd sprzeczny z wolą większości narodu. Jeszcze dziś Węgry spóźnione są w stosunku do Polski na drodze komunistycznej dyktatury; komedia sfałszowanych wyborów na Węgrzech dopiero się odbędzie, podczas gdy w Polsce miała już dawno miejsce. Jakże więc, nie urągając zdrowemu rozsądkowi, twierdzić, że Polska jest demokratyczna, a Węgry nie są?

Czas jest naprawdę najwyższy, aby zrozumiano na czym polegają różnice pomiędzy poszczególnymi krajami pod panowaniem sowieckim. Niewątpliwie różnice istnieją, ale są to jedynie różnice stopnia sowietyzacji. Jugosławia poszła najdalej na tej drodze, za nią kroczy Bułgaria, Rumunia i Polska, podczas gdy Węgry kroczyły do tej pory na końcu. Wcale nie jest pewne, czy np. sytuacja w Polsce jest lepsza, niż w Bułgarii, gdzie mogła dotąd działać niezależna partia socjalistyczna, podczas gdy w Polsce Żuławski nie otrzymał na to pozwolenia.

Ale są to różnice nieistotne. Wszystkie te kraje są w niewoli sowieckiej i wszystkie jednako czekają na oswobodzenie z tej niewoli. Mówienie, że Polska jest „demokratyczna" to naigrywanie się z jej tragedii.

*LECTOR*

*Polska pod okupacją*

# Komuniści umacniają swą władzę

### BITWA O HANDEL WEWNĘTRZNY

W Kraju ostatnio powstała wielka drożyzna. Cena białego chleba, który kosztował niedawno 75 zł za kilogram, podskoczyła na 135 zł. Wzrosły także nagle ceny mąki, cukru i innych artykułów żywnościowych oraz produktów przemysłowych.

Zjawisko to tłumaczy się z jednej strony ustawaniem pomocy zewnętrznej, głównie UNRRy, która wynosiła, 4–5 krotną wartość budżetu państwowego, z drugiej strony niezdrowymi stosunkami gospodarczymi, panującymi w Kraju. Prasa reżimowa, oczywiście, oskarżyła reakcję, spekulantów, gen. Andersa i wszystkich innych „wrogów ludu", którzy zawsze i wszędzie są winni wszelkim niepowodzeniom systemu komunistycznego. Prasa ta pisała:

„...*krótka analiza przebiegu zjawisk wahań cen na niektóre artykuły, ponad wszelką wątpliwość wykazuje, że nie są to ruchy spontaniczne, lecz akcje wyreżyserowane, przygotowane i przemyślane.*

„*Za kulisami spekulacji stoi dywersja gospodarcza, kierowana z zewnątrz.*

„*Nie pierwszy raz w historii burżuazja walczy z demokracją próbami dezorganizacji życia gospodarczego.*

„*Jednakże te zamierzenia polityczne reakcji i pozostającej na usługach dywersji zgrai spekulantów zostały dobrze przejrzane.*

„*Raz jeszcze musimy je zdemaskować przed społeczeństwem, przede wszystkim przed najofiarniej pracującą dla gospodarczego podniesienia kraju klasą robotniczą. Cierpliwość górników, kolejarzy, nauczycieli nie będzie wystawiona na próbę!*

„*W obronie najważniejszych gospodarczo-socjalnych osiągnięć naszej rewolucji ludowej potrafimy zastosować stanowcze środki, które doprowadzą do całkowitego wytrzebienia elementów spekulacyjnych oraz utajonych dywersantów gospodarczych.*

„...*Szeroki jest wachlarz metod, przy pomocy których wrogie elementy mogą szkodzić wykorzystując bądź to legitymacje partyjne, bądź to, jeśli nawet nie należą do partii, stanowisko służbowe. A więc przede wszystkim sabotaż gospodarczy, sztuczne wywoływanie chaosu w aparacie państwowym, celowe biurokratyzowanie go... Wszystkie te próby nie mogą ujść uwadze klasy robotniczej i całego obozu demokratycznego. Zmieniona taktyka reakcji wymaga od nas wzmożonej czujności, zaostrzonej kontroli na wszystkich odcinkach naszej pracy i radykalnych cięć tam, gdzie zachodzi tego potrzeba*".

Wzrost cen i walka z drożyzną posłużyły komunistom jako pretekst do dalszej sowietyzacji Polski przez wprowadzenie państwowego aparatu skupu zboża i utworzenie „państwowych ośrodków handlu detalicznego", co ma być przeprowadzone przy użyciu metod policyjnych, a z pominięciem czynnika społecznego i bez uwzględniania spółdzielczości. W wyniku, nowe zarządzenia skoncentrują w rękach komunistów pełną kontrolę życia gospodarczego Polski.

Tej zachłanności komunistów próbowała przeciwstawić się PPS, ale bez większego sukcesu, jak można było przewidzieć. Po dyskusji na tematy polityczne między PPR a PPS, o czym pisaliśmy w poprzednim numerze, przyszła kolej na dyskusję gospodarczą. Polemiki te świadczą o istnieniu zasadniczego sporu między t.zw. partiami jednolitofrontowymi, sporu, u którego podstaw leży dążność komunistów do ujęcia coraz większej władzy przez coraz mniejszą ilość ludzi.

### „PSL-LEWICA"

PSL reżim stara się zgnieść wszelkimi sposobami, szykanami, aresztami, rozwiązywaniem poszczególnych ogniw organizacji, konfiskatami, prowokacją, terrorem. Ta presja odnosi pewne sukcesy, powodując ostatnimi czasy, że ludzie o słabszych charakterach pod różnymi pozorami dezerterują z PSL. Ci działacze polityczni, którzy niedawno temu usunęli się z PSL, lub zostali z niego usunięci, albo wstąpili do reżimowego Stronnictwa Ludowego, albo kombinują razem z niedobitkami z „PSL-Nowe Wyzwolenie" utworzenie „Polskiego Stronnictwa Chłopskiego", lub w końcu utworzyli nową grupkę pod szumną nazwą: „PSL-lewica" (Wycech, Niećko).

Ta nowa dywersyjna grupka „PSL-lewica" nie określiła wyraźnie ani swego programu, ani celów politycznych, ograniczając się jedynie do krytyki PSL i Mikołajczyka. Reżim do tych wszystkich dywersji odnosi się przychylnie, jak długo one rozbijają PSL, nie chce jednak popierać powstawania nowych organizacji politycznych „sektoru chłopskiego". Reprezentantem tego „sektoru" ma być jedynie Stronnictwo Ludowe, zroganizowane i już „uporządkowane" według wzorów reżimowych.

Charkterystyczne, że wszystkie ostatnie dywersje na terenie PSL nie osłabiły zbytnio tego stronnictwa. Były to bowiem dywersje jednostek a nie mas. Również wiadomości, które niedawno nadeszły z Kraju, wskazują, że na listę PSL, jako jedyną listę opozycyjną, padło około 65% głosów w czasie styczniowych wyborów.

### „ELEMENTY NIEPOWOŁANE"

Terror reżimu powoduje, że wielu ludzi w Kraju boi się wstępować do PSL jako jedynej partii opozycyjnej. Wielu więc dla względów oportunistycznych zapisuje się do „stronnictw blokowych", co wywołuje zaniepokojenie ich kierownictw. Organ PPS, „Robotnik" (nr. 849) daje temu wyraz pisząc:

„*Postępujący szybko wzrost liczby naszych członków zmusza stary wypróbowany aktyw partyjny — z jednej strony do zwiększenia wysiłków w kierunku wciągnięcia nowowstępujących do pracy, — i z drugiej do zwiększenia czujności, aby do grona naszego nie wkradły się osoby nie mające w istocie rzeczy z PPS nic wspólnego...*

„*Mając w pamięci wspaniałe tradycje Polskiej Partii Socjalistycznej, rozumiejąc ogromną rolę, jaką Partia nasza ma do spełnienia dziś, nie dopuścimy do zachwaszczenia własnego terenu, nie pozwolimy na przenikanie do naszego grona elementów niepowołanych lub wręcz szkodliwych.*

„*Witając w PPS z radością wszystkich prawdziwych socjalistów, dotychczas niezorganizowanych, — przez zdwojoną i skrupulatną kontrolę i czujność wykluczymy możliwość osłabienia i rozluźnienia naszych szeregów*".

### HUMOR WARSZAWY

W Kraju opowiadają sobie następujące anegdoty i żarty:

*W związku z amnestią „prezydent" Bierut postanowił ujawnić ... swoje nazwisko. Okazało się, że jest to stare, znane nazwisko — Koniecpolski.*

*

*Po zerwaniu konkordatu przez rząd warszawski Żymierski wydał rozkaz, w którym zakazał oficerom od stopnia majora wzwyż podpisywać się — krzyżykami.*

*

*„Marszałek" Żymierski otrzymał od wojska buławę marszałkowską. Napis na niej jest parafrazą znanego powiedzenia księcia Józefa Poniatowskiego i brzmi następująco: „Wróg mi powierzył honor Polaków..."*

*

*Radkiewicz miał podobno oświadczyć, że generałowi Andersowi „włos z głowy nie spadnie, gdy wróci on do Polski"* (niestety, tylko dlatego, że gen. Anders jest łysy! — przyp. aut.)

*

*Słynni lekarze sowieccy wynaleźli nowy sposób rwania zębów — przez nos. Metoda ta jest powszechnie stosowana, ponieważ w Sowietach nikt nie śmie ust otworzyć.*

Mimo ruin i trudności życia codziennego przysłowiowy humor warszawski żyje, świadcząc o tężyźnie i ufności Warszawiaków w lepszą przyszłość.

*TADEUSZ NALER*

## Zrzeszenie Przyjaciół Polskiego Żołnierza

**Polish Soldiers Aid Association, 56, St. Mark's Place, New York 8, N.Y.**

### VII.—POMOC DLA PRZYJEŻDŻAJĄCYCH DO USA *)

Dla wiadomości wszystkich tych polskich żołnierzy, którzy starają się o przyjazd do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej podajemy do wiadomości następujący apel Polskiego Komitetu Imigracyjnego w New Yorku (25, St. Mark's Place, N.Y.C.):

„*Polonia Amerykańska zorganizowała Polski Komitet Imigracyjny w New Yorku, którego zadaniem jest opiekowanie się Polakami przybywającymi z Europy do Stanów Zjednoczonych.*

*Wbrew powszechnie panującemu w Europie mniemaniu, Polonia tu nie składa się z milionerów. Przeciwnie! Tworzą ją masy robotników, ciężko pracujących na kawałek chleba, walczących z szalejącą w Ameryce drożyzną, wspomagających wreszcie nieraz ostatnim groszem swe rodziny w Polsce przez wysyłanie im paczek z żywnością i odzieżą.*

*Te niezamożne rzesze, podczas całej wojny, jak i obecnie, stale składają się na opłacanie kosztów kampanii mającej na celu wywalczenie Polsce należytych Jej praw, na utrzymanie setek polskich szkół parafialnych i tp. Toteż jest rzeczą niemożliwą domagać się od nich, by i na ten Komitet łożyły tyle, aby każdego przybywającego z Europy zaopatrzyć w środki do życia, nim będzie mógł znaleźć dla siebie odpowiednie zajęcie.*

*Wszystko, co ten Komitet uczynić może, to zajęcie się nowymi imigrantami na przystaniach, pomożenie w załatwieniu formalności celnych, przewiezienie do tymczasowego schroniska, skierowanie do miejsca przeznaczenia, do krewnych czy znajomych, którzy podjęli się zająć ich losem.*

*Tym, którzy nie mają rodziny czy przyjaciół w Ameryce, Komitet stara się w miarę swej możności o znalezienie mieszkania i pracy. Robotnikom i rzemieślnikom pracę taką znaleźć można zwykle dość łatwo. Natomiast o pracę dla inteligencji, nie mówiącej po angielsku i to pracy takiej, która by odpowiadała wykształceniu i wymaganiom, jest zwykle rzeczą niemożliwą. Dla nich nie ma odpowiednich warsztatów pracy, przynajmniej tak długo, póki nie opanują oni języka angielskiego.*

*Dlatego też inteligencja musi być również przygotowana do przyjęcia pracy takiej, jak sprzątanie w biurach, praca w fabrykach i tp. Praca taka często opłacana jest skromnie, ale wystarczająco na przetrzymanie pierwszych miesięcy...*

*Nie damy nikomu umrzeć z głodu. Nie należy jednak wstydzić się lub obawiać jakiejkolwiek pracy, która może wedle europejskich pojęć byłaby „ubliżająca". W Ameryce jest to normalnym i zdrowym moralnie objawem.*

*Na nic więcej nas nie stać i nic więcej dla przybywających imigrantów do Stanów Zjednoczonych zrobić nie możemy. Pragniemy zawiadomić o tym tych wszystkich, którzy przybyli tu, lub wybierają się do Stanów Zjednoczonych. Muszą być oni przygotowani na ciężkie z początku życie. W AMERYCE PRACOWAĆ MUSZĄ WSZYSCY. TRZEBA TU ZAPOMNIEĆ KIM SIĘ BYŁO W POLSCE. Wówczas nie będzie zawodu i narzekania na Polonię Amerykańską i na tutejsze organizacje, które zajmują się udzielaniem pomocy dla przybywających braci zza oceanu*".

Na marginesie powyższego należy zaznaczyć, że Zrzeszenie Przyjaciół Polskiego Żołnierza i Komitet Imigracyjny jak najbardziej ściśle współpracują i wzajemnie się uzupełniają.

*JERZY LASZKOWSKI*

*) Por. artykuły tego cyklu w poprzednich numerach „Polski Walczącej".

# NASZ ZNAK

STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTÓW

Rok I 14 CZERWCA 1947 Nr. 9


# Sprawne organa wykonawcze

Znajdujemy się w przededniu Walnego Zjazdu Delegatów SPK. Wprawdzie ustali on tylko sprawy podstawowe, da wytyczne bardzo szerokie, nie od rzeczy jednak będzie zastanowić się nad najlepszą formą działalności codziennej, nad stroną wykonawczą pracy Stowarzyszenia.

Ważne jest uświadomienie sobie faktu, że władze Stowarzyszenia pochodzące z wyboru, a więc Rada i Komitet Wykonawczy nie mogą w myśl obowiązujących statutów pobierać żadnego wynagrodzenia za swą pracę. Środki na swe wydatki prywatne osoby te muszą czerpać z innych źródeł. Ponieważ nie ma między nami zbyt wielkiej ilości bogaczy, źródłem tym będzie dla nich jakaś praca zarobkowa. Jasny jest stąd wniosek, że Komitet Wykonawczy nie będzie w przyszłości organem pracy codziennej. Będzie on decydował we wszystkich sprawach ważniejszych, będzie odpowiadał za całość działalności i rozwój Stowarzyszenia. Członkowie jego będą mogli jednak tylko w ograniczonym stopniu spełniać bieżące funkcje administracyjne.

Wiemy jednocześnie, że Stowarzyszenie liczące już dzisiaj dziesiątki tysięcy członków, przy stałej dążności wzrostu ich liczby, posiadające oddziały w szeregu krajów europejskich i zamorskich, jest organizacją postawioną przed dużymi konkretnymi zadaniami. Wynikają one ze statutu, z uchwał walnych zjazdów, przede wszystkim z potrzeb jego członków.

Dobre wypełnianie obowiązków, których Stowarzyszenie się podjęło, zależne jest w dużym stopniu od sprawnej administracji. Przyszłe władze Stowarzyszenia powinny potraktować zorganizowanie jego pracy, jako jedno z najważniejszych swych zadań. Oprzeć się przy tym należy wyłącznie na nakazach praktycznych, mając na widoku osiągnięcie konkretnych celów. Przy doborze personelu rozstrzygać winny kwalifikacje. Byłoby błędem, gdyby Stowarzyszenie poszło tutaj drogą uczuciową, opierało się na związkach koleżeńskich, potraktowało obsadę personalną, jako możność umieszczenia ludzi, którzy mają trudności w innym urządzeniu swych spraw życiowych.

Organizacja aparatu administracyjnego Stowarzyszenia, zwłaszcza w zakresie gospodarczym, powinna być prosta i zapewniać możność szybkiego działania. Tylko bardziej zasadnicze, szersze sprawy podlegałyby kompetencji tych czy innych ciał zbiorowych. Osoby kierujące działami czy placówkami wykonawczymi posiadałyby duże pełnomocnictwa i taką odpowiedzialność osobistą. Dyskutowanie każdej sprawy na komitetach czy komisjach oznaczałoby w wielu wypadkach pracę na wolnych obrotach, bez rezultatu.

Funkcje władz wykonawczych we wszystkich kierunkach działalności winny być jasne, zrozumiałe dla najszerszych warstw członków. Wielu z nas pracować będzie bez możności łatwego, bezpośredniego porozumienia się nawet z własnym kołem. Tym bardziej muszą być wszyscy zorientowani, jakie organy Stowarzyszenia, na jakim szczeblu organizacyjnym są kompetentne dla danej sprawy.

Rzuciliśmy kilka uwag, mając na celu wywołanie dyskusji, która może dostarczyć cennego materiału dla decyzji władz Stowarzyszenia.

*ADAM RUDZKI*

**Byłeś odważny na froncie, bądź też odważny w cywilu!**

# Życie przenosi się do hosteli

**(*Korespondencja własna*)**

Na znacznej wysokości, na skraju angielskiego Moorlandu, leży znana z eleganckich hoteli i pensjonatów, miejscowość uzdrowiskowa Buxton.

Jedziemy falistą serpentyną między wzgórzami pokrytymi brunatnym poszyciem wrzosów i sitowi. Tu i ówdzie stare kamienne „*cottages*", niedbale utrzymane, a na pagórkach stada owiec. Drogowskaz: 4 mile do Buxton... Poprzez dolinę w prawo ogromne urwisko i ściana kamienna, odbijająca rdzawym refleksem nieśmiałe promienie popołudniowego słońca.

Tam właśnie przy wagonikach buxtońskiego kamieniołomu nasz żołnierz rozpoczął pracę przed trzema tygodniami. Wjeżdżamy do miasta, by po chwili stanąć w rejonie baraków — hostelu dla żołnierzy, pracujących w kamieniołomach. Gęsto skupione beczki od zewnątrz wyglądają schludnie.

Wchodzimy do środka. Tu i tam odpoczywają na łóżkach robotnicy z porannej zmiany. Witają nas serdecznie, ale niezbyt ufnie. Mieli już kilka komisji interesujących się nimi. Padają pytania i odpowiedzi.

Patrząc na nędzne wyposażenie beczek można przewidzieć, co ich mieszkańców boli, czego pragną. Na pracę nie narzekają. Przyszli ze świadomością, że młot do rozbijania kamienia nie jest lekki. Przez pracodawców są traktowani życzliwie. Wynagrodzenie od £4.8.0 do £5.10.0 tygodniowo.

A jakie problemy? Kierownik hostelu pomaga zrozumieć sytuację. Przyjechał tu wyznaczony przez oddział i zastał stan zupełnego zdewastowania. W ślad za obsługą hostelu przybyły pierwsze grupy żołnierzy. Nie było gdzie pomieścić ludzi, ponieważ hostel był pomyślany na 80 mieszkańców, a wbrew meldunkom dosłano jeszcze 35 osób. Trzeba więc było bardzo się ścieśnić, aby dla wszystkich starczyło miejsca. Ten pośpiech nie dał nawet dość czasu, aby można było od razu usunąć z nad podwójnych ex-jenieckich łóżek — napisy z nazwiskami Kurtów, Hansów i Wolfgangów...

A jakie są jeszcze braki? To widać. Wnętrza brudne, nieszczelne, nie ma stołów, krzeseł. Zupełny brak szaf na ubrania, zniszczone podłogi, nieurządzone kuchnie i jadalnia, świetlica świeci pustkami...

Stała obsada hostelu boryka się z trudnościami, tak samo brytyjskie kierownictwo wojskowe. I jednym i drugim trudno odszukać instytucję, która zajęłaby się szczerze tą akcją. I czy znając przysłowiową powolność angielską można się temu dziwić? Czy posiadanie robotnika „w ręku" przyśpieszy staranie o poprawę warunków? Raczej nie! A £10 miesięcznego czynszu za dzierżawę beczki ma dostateczną wymowę!

Budzą się refleksje i w ślad za nimi — wnioski:

— Nie wysyłać żołnierzy z obozu do pracy z zamieszkaniem w hostelu bez uprzedniego stwierdzenia, czy hostel odpowiada ludzkim warunkom mieszkaniowym.

— Nie dawać obietnic na rychłą poprawę warunków, o ile szanse uzyskania są oparte na fikcji.

— Obsada hostelu od pierwszej chwili musi przejść na status cywilny. Kucharz wydający obiady od 12.30 do 17.00 (3 zmiany po 8 godzin) nie może pracować za żołd PKPR.

— Z naszej strony dołożyć starań, by w ślad za grupą roboczą poszła polska książka i prasa.

— Zapewnić na powyższe cele, chociażby w pierwszej fazie powstawania hosteli — jakąś sumę z Funduszów Społecznych, aby Polak wiedział, że składając w wojsku przy każdej dekadzie część swoich skromnych dochodów, pobiera od nich procenty w momencie, kiedy stawia pierwsze kroki w swym życiu cywilnym.

— Wyposażyć żołnierza odchodzącego z oddziału w lepsze sorty mundurowe.

— Kierować ludzi według kwalifikacji zgłoszonych i przyjętych przez *Labour Exchange*, dopilnować i wymagać, aby takie, a nie inne dostali zatrudnienie.

— Rozciągnąć nad hostelami opiekę najbliższych Kół SPK, o ile mieszkańcy danego hostelu jeszcze nie utworzyli własnego Koła.

To tylko luźnie rzucone uwagi w ramach wielkiego zagadnienia.

Nie róbmy błędów, aby nie stracić zaufania, aby być zwartą grupą, która potrafi wywalczyć w organizacji obcego duchem i narzuconego nam PKPR — należne i obiecane prawa.

Z ostatniego wirażu widać w dolinie miasto innych baraków — to Blackshow Moor. Na szosie grupy żołnierzy. Ci jeszcze nie stanęli przy wagonikach w kamieniołomach czy w kopalni, nie zetknęli się z warsztatem pracy cywilnej... Uśmiechnięte miny, proporczyki, zaprasowane czarne berety — wiadomo, kawaleria! Ale to samo ich czeka...

Naszym obowiązkiem jest pomóc tym, którzy nieodstraszeni trudnościami pierwszych kroków w życiu cywilnym stanęli przy warsztatach pracy.

Blackshow Moor

*TADEUSZ ARCHUTOWSKI*

**DOM HARCERSKI W LONDYNIE**

**Zawiadamiamy o otwarciu w Londynie DOMU HARCERSKIEGO przy ul. 45, Gloucester Road, S.W.7.**

**Dom harcerski przeznaczony jest dla członków i przyjaciół Harcerstwa oraz dla ich gości. W domu mieszczą się biura Naczelnictwa ZHP, świetlica dla dzieci i młodzieży oraz sala klubowa dla starszego harcerstwa z czytelnią i biblioteką.**

**Dla członków organizacji i ich gości będzie wkrótce otwarta jadłodajnia ze smacznymi i tanimi posiłkami. W domu mieści się także „Składnica Harcerska" (kiosk), gdzie można nabywać dzienniki i czasopisma, książki harcerskie i beletrystyczne oraz domowe wyroby harcerek i harcerzy, mundury i oznaki harcerskie.**

**Przyjezdni z poza Londynu otrzymać mogą tanie noclegi. Pożądane jest zamawianie noclegów z góry, w drodze listownej lub telefonicznej (WES 0251).**

**Dom harcerski w Londynie — to nie tylko centrum życia młodzieży polskiej, ale także miejsce miłej i polskiej atmosfery.**

**Wszystkie harcerki, harcerzy oraz przyjaciół i sympatyków ZHP zaprasza do odwiedzenia i korzystania z domu.**

# Poza kurtyną złudzeń

***(Wrażenia Polaka z Kraju)***

**Nadzieja a rzeczywistość**

Była cicha, księżycowa noc, gdy przechodziliśmy granicę polsko-czeską. Przewodnik szybkim krokiem podążał naprzód, tak że ledwie mogliśmy nadążyć. Nagle stanął, pokazał ręką i wyszeptał: „Kamień graniczny". Stanęliśmy. Żaden nie powiedział słowa, ale wszyscy myśleliśmy to samo. Nie czas jednak na rozmyślania, więc jeszcze jedno spojrzenie w dal, coś przy tym jakby ukłuło, oczy zwilgotniały, i — poszliśmy naprzód. Kilka dni podróży przez Czechosłowację, jeszcze jedno denerwujące przejście przez granicę i znaleźliśmy się na ziemi niemieckiej.

Odetchnęliśmy pełną piersią. Sądziliśmy, że możemy już być spokojni, że żadne niebezpieczeństwo już tu nam nie zagraża, a wśród tej dużej ilości emigrantów polskich — znajdziemy serca, które nas zrozumieją, odczują, przygarną jak braci. Z jaką radością rzuciliśmy się, ku pierwszym napotkanym na obczyźnie Polakom! Rozwiązały się nam języki, opowiadamy, otwieramy swoje serca. Ale jakże byliśmy naiwni! Zapał nasz stygnie stopniowo, gdy widzimy obojętność, przygnębienie, a nawet ironię u naszych słuchaczy.

— Ja też tak kiedyś myślałem — przerywa mi jeden z napotkanych Polaków, — ale gdy przesiedziałem sześć miesięcy w więzieniu za przekroczenie granicy, w którym znikąd żadnej pomocy nie miałem, gdy następnie darmo szukałem i szukam pomocy, jakiegoś punktu oparcia, zobojętniałem na wszystko, marzę już tylko o tym, ażeby znaleźć jakiś spokojny kąt, zapracować na życie; ażeby nie być głodnym...

Oburzyłem się:

— To niemożliwe, są tu przecież różne organizacje, stowarzyszenia, są nasi przedstawiciele w Anglii...

— Wiem, że pana nie przekonam, ale przekona życie. Jak pan pobędzie jakiś czas tu, na emigracji i pozna bliżej tutejsze życie, gdy głód zajrzy w oczy, zobojętnieje pan na wszystko, zapomni o niedoli innych i będzie myślał tak jak ja, tak jak wszyscy tutaj — tylko o sobie....

Nie podtrzymywałem już rozmowy i odszedłem przekonany, że napotkałem ludzi wyjątkowo przez los dotkniętych.

**W kompanii wartowniczej**

Zbliżyły się tymczasem Święta Wielkanocne. Nie marzyliśmy o szynkach i kiełbasie, ale sądziłem, że w tak dużym środowisku można będzie chociaż staropolskim zwyczajem podzielić się jajkiem wielkanocnym. Niestety, zwiedziliśmy kilka ośrodków polskich, a także kompanie wartownicze, zetknęliśmy się z oficerami tych kompanii, ale ci mieli czas zbyt zajęty kobietami, przeważnie Niemkami, tak że nie można było porozmawiać o sprawach polskich.

Następnie odwiedziliśmy szarą brać żołnierską. Cóż za różnorodne typy można tu spotkać! Obok jednostek zupełnie zdemoralizowanych — chłopców prostych, zwyczajnych, ale o prawych charakterach. Tu można było znaleźć prawdziwie polskie serca. Każdy starał się poczęstować tym, czym mógł, porozmawiać, podzielić się swoimi wrażeniami, dowiedzieć się o Polsce.

**Prezes dla ozdoby**

Zaraz po Świętach wyjeżdżamy. Zwiedzamy kilka miast, kilkanaście środowisk polskich. W jednej z kompanii wartowniczych handel z Amerykanami kwitnie na wielką skalę, Żołnierze przywożą krowy i świnie do kuchni, odpadki jedzenia poniewierają się po rynsztokach. Wszędzie spotyka się mniej więcej to samo: dziesiątki tysięcy ludzi zdemoralizowanych bezczynnością, podczas gdy w tych samych obozach zatrudnieni są Niemcy na różnych stanowiskach. Widzimy ludzi opływających we wszystko, dorabiających się dużych majątków, a obok nich przymierających głodem. Najwięcej jest takich, którzy obojętnie czekają — co z nimi zrobią.

Zwiedzamy jeszcze obóz oficerski, rozmawiamy z generałem, z wyższymi oficerami. Brak i tu jakiejkolwiek orientacji. Idziemy na obiad do kasyna oficerskiego, przeglądam leżącą tam prasę. Do ręki wpada mi „Biuletyn Informacyjny". Czytam skwapliwie i twarz mi się rozjaśnia. Nareszcie mam coś konkretnego; koła A.K. i Kombatantów — Samopomoc Wojska.

Okazuje się, że istnieje koło A.K. w obozie, w którym się obecnie znajdujemy. Szukam szybko podpułkownika, który według informacji „Biuletynu" stoi na czele miejscowego Koła.

— Niestety nic panom powiedzieć nie mogę, gdyż do A.K. nie należałem.

Pokazuję jego nazwisko umieszczone w „Biuletynie", który trzymam w ręku.

— Ja wiem, ale ja z tym nic wspólnego nie mam.

I znowu o jedno rozczarowanie więcej.

**W zonie brytyjskiej nie lepiej**

Z różnych stron słyszymy narzekanie na Amerykanów, którzy nieraz w brutalny sposób postępują z Polakami. Postanawiamy jechać jeszcze do strefy angielskiej — tam na pewno jest lepiej. Anglicy zapewne lepiej ustosunkowują się do Polaków, którzy tak dzielnie walczyli u ich boku.

Siadamy do pociągu, w którym spotykamy kilku Polaków z kompanii wartowniczej strefy angielskiej. Korzystamy z okazji i wypytujemy się o warunki służby.

— Wracam z kompanii do obozu, gdyż zrezygnowałem ze służby — odpowiada jeden z poruczników. — Jedzenie było wystarczające, ale nic nie płacą, pomimo przyrzeczenia. Żadnych widoków na przyszłość. Najgorzej, że kazali zdjąć wszelkie odznaki polskie, nie liczą się ze stopniami. Z oficerów robią szeregowców, a z szeregowców oficerów. Gdy żołnierz zachoruje, nie wiadomo, kto go ma leczyć. Jedni twierdzą, to jest cywil i należy go leczyć w szpitalu cywilnym, stamtąd jednak odsyłają go do szpitala wojskowego, gdyż uważają, że jest on żołnierzem. Rezultat taki, że w ogóle nikt go nie leczy. Źle, że nie miał kto dopilnować, ażeby zostały odpowiednio sprecyzowane i dotrzymane warunki służby w kompaniach.

— Owszem są — przerywam porucznikowi i pokazuję mu je w „Biuletynie Informacyjnym".

— Nic o tym nie wiedziałem, a zresztą Anglicy i tak tych warunków nie dotrzymują.

**Nagroda od swoich**

W strefie brytyjskiej zwiedziliśmy największe ośrodki polskie. Wszędzie spotykamy mniej więcej to samo: jak najdalej posunięty egoizm, zniewieściałość, kartograjstwo, obojętność na niedolę innych. Rozczarowani, zmęczeni i głodni, usiedliśmy na przydrożnej ławce. Obok nas usiadł młody mężczyzna lat około dwadzieścia.

— Panowie Polacy? — słyszymy po chwili zapytanie.

Rozpoczynamy znowu rozmowę z jednym z tych Polaków-tułaczy, nie mających dachu nad głową.

— Czy pan był w A.K.? — zapytuję w trakcie rozmowy.

Patrzy chwilę na mnie nie mogąc się zdecydować na odpowiedź, potem jednak jakby z zawstydzeniem mówi:

— Tak.

— Dlaczego pan tak się wahał z odpowiedzią? — pytam zdziwiony.

— Proszę pana, tułam się już po Niemczech trzy tygodnie, byłem w różnych obozach i nasłuchałem się dość wymyślań na A.K. Do tego, że jestem podchorążym w ogóle się już nie przyznaję, gdyż nie mogę znieść tego lekceważenia starych oficerów, z jakim traktują nas „smarkaczy". Przykro, że jestem dziś narażony na drwiny i pośmiewisko za to, iż mając piętnaście lat woziłem rozkazy, prasę, broń. Później byłem w lesie ... widzi pan — rozpina koszulę i pokazuje dużą bliznę na ramieniu — byłem aż do wkroczenia bolszewików. Ze mną był brat i w partyzantce urwało mu nogę. Niosłem go z kolegą i umarł mi na rękach z upływu krwi...

Umilkliśmy wszyscy.

— I co pan myśli ze sobą zrobić? — przerywam milczenie.

— Rozmawiałem rano z jednym porucznikiem, Dał mi adres do znajomych i sto marek na drogę. Obcy człowiek. Ważniejsze jest jednak to, że mnie odczuł, zrozumiał, dał co mógł, z serca, a nie rzucił jak ochłap psu, tak jak to wszyscy dotychczas robili. Jakie to przykre, jakie upokarzające, każdy chce się jak najprędzej pozbyć, aż trudno uwierzyć, że się jest wśród Polaków, wśród swoich rodaków...

Żegnamy się, bo już czas na pociąg. Przykro mi było, że nie mogłem się niczym podzielić. Sami nie mieliśmy kawałka chleba na drogę. Nie mogłem też zdobyć się na puste słowa pociechy.

**Ciężar przeszłości i maj na obczyźnie**

Nie przypuszczaliśmy, że ta emigracja, w którą tam w kraju takie pokładają nadzieje, jest podzielona na „pawianów", „kacetowców", „Akowców" — nie mogących znaleźć wspólnego języka. Oficerowie z niewoli po kilku latach odosobnienia nie mogą zrozumieć ludzi z obozów koncentracyjnych, którzy żyjąc w okropnych warunkach, w ciągłym oczekiwaniu wyroku na siebie, mają nerwy stargane, potrzebują spokoju i marzą o normalnych warunkach życia. Trudno też zrozumieć starym oficerom te naprawdę nieraz bohaterskie wyczyny młodzieży z A.K. I odwrotnie „kacetowcy" i „Akowcy" nie mogą zrozumieć, że życie oficerów w *oflagach* było również ciężkie. A wielu z Polaków zrozumieć nie może, dlaczego ci, którzy prowadzili nas do walki z wrogiem, którzy kierowali ruchem podziemnym, którzy mają obecnie pewne możliwości zająć się sprawami emigracji, nie wpłyną na to, ażeby wyeliminować spośród ludzi o różnej wartości — takich, którzy na to zasługują, i zaopiekować się nimi. Czyżby ci ludzie nie byli już Polsce potrzebni?

Po długiej tułaczce na obczyźnie, która nas niestety tak rozczarowała, na ostatnim — tymczasowo — etapie spotkała nas miła niespodzianka. Oto mogliśmy wziąć udział w obchodzie trzecio-majowym, urządzonym przez młodzież polskiego ośrodka. Patrząc na te barwne korowody młodzieży ubranej w stroje wszystkich dzielnic Polski i słuchając żywego słowa i śpiewu, zapomnieliśmy, chociaż na chwilę, że jesteśmy na obczyźnie. Są jeszcze jednak ludzie, którym dobro ogólne — dobro młodzieży nie jest obce. Przygotowują ją do przyszłego życia w Polsce, kiedy będzie wolna.

*Achterwehr, Niemcy.*

*STARY*

## CIEKAWY WYROK SĄDOWY

*Wdowa po robotniku wniosła skargę do sądu brytyjskiego o odszkodowanie za śmierć męża, który zmarł podczas pracy — na polu pracodawcy.*

*Robotnik ten był epileptykiem. Pracując na polu buraczanym upadł twarzą w dół, w kałużę, i udusił się. Sędzia pierwszej instancji orzekł, że pracodawca nie ponosi w tym wypadku odpowiedzialności i wobec tego wdowa nie jest upoważniona do odszkodowania.*

*Wdowa odwołała się do sądu wyższej instancji i Sąd Apelacyjny opierając się na części I.* Workman's Compensation Act, 1925 — *przyjął za podstawę fakt, że choroba robotnika (epileptyk w danym wypadku) nie była jedyną przyczyną zgonu. Wobec tego obciążono pracodawcę odpowiedzialnością i przyznano wdowie prawo do odszkodowania.*

*Wyrok ten jest znamienny. Świadczy on bowiem o jak najlepszej woli ze strony sądu przyjścia z pomocą stronie słabszej, przy czym z pewnością wzięto pod rozwagę stan majątkowy pracodawcy i rodziny zmarłego.*

*Wyroki sądów w W. Brytanii nie są bynajmniej wynikiem suchego prawa, lecz zależą od stopnia poczucia sprawiedliwości danego sędziego. Przy tym często poprzednie wyroki w podobnych sprawach stają się precedensami na przyszłość.*

*Chociaż życzymy wszystkim kolegom jak najdłuższych lat pomyślnej pracy i zdrowia, zwracamy jednak uwagę na ten przyczynek do ustalenia uprawnień, co nie zaszkodzi wiedzieć.*

*ROL*

**Nie machaj ręką na wszystko, bo ją zwichniesz**

## PRACA W RESTAURACJI

Drogi Kolego,

oto jakie wiadomości zebraliśmy w sprawie, która interesuje Kolegę i jego przyjaciół.

Tydzień pracy dla obsługi restauracji na terenie W. Brytanii wynosi zasadniczo 48 godzin. Powyżej tej normy zaczynają się „nadgodziny".

Tygodniowe pobory pracowników wszelkiego rodzaju zmieniają się w zależności od tego, co pracownik otrzymuje dodatkowo od pracodawcy, jak np. mieszkanie, posiłki i t.p.

Dla pracownika (mężczyzny powyżej 21 lat) zatrudnionego poza granicami centrum Londynu (*City of London and Metropolitan Police District*) — stawka płacy wynosi 60s. tygodniowo plus pełne utrzymanie i mieszkanie na 7 dni tygodnia, lub 85s. tygodniowo bez utrzymania i mieszkania. Przy samym utrzymaniu bez mieszkania — warunki ustala się pośrednio.

Dla kobiety zatrudnionej w podobnych warunkach (powyżej 21 lat) stawka tygodniowa wynosi 47s. tygodniowo plus utrzymanie i mieszkanie lub bez mieszkania i utrzymania — 72s. tygodniowo.

W centrum Londynu wszystkie te stawki są o 3s. tygodniowo wyższe, niż w reszcie kraju.

Jeżeli pracownik stały pracuje mniej niż 48 godzin tygodniowo i jest na stawce godzinnej, stawka ta musi równać się 1/48 stawki tygodniowej.

O ile chodzi o sprawę „nadgodzin", o których wspominaliśmy na początku, to liczą się tutaj godziny przepracowane ponad normę tygodniową — 48 godzin w stosunku dziennym.

Wchodzą tu w grę godziny pracy w niedziele i inne święta publiczne, jak również „*Bank-holidays*" i inne — przy co najmniej 48-tygodniowym roku pracy. Stawki te obowiązują już od lutego br.

Dotyczą one jedynie restauracyj z prawem wyszynku i barów.

*B.I.P.*

# Porazka

Mroźny i mokry zarazem chłód zdłużonej tegorocznej zimy zdążył przeniknąć do szpiku kości, zanim dotarłem do „Klubu" — schroniska londyńskiego, w którego pokojach spotyka się całe nawarstwienie sfer emigracyjnych. Uderzył mnie znajomy odór smażenia, penetrujący do wszystkich, niedogrzanych i niedoświetlonych „sal" — świadków niejednego niespodziewanego spotkania.

Wchodząc na górę, w półcieniu klatki schodowej, dostrzegłem opartą o barierę jakby znajomą sylwetkę. Mimo rozpoznania osoby, chciałem przejść dalej.

Byłem z nim we Francji. Potem, krótko, w Szkocji. Dostaliśmy różne przydziały i zniknął mi na pewien czas z oczu. W ciągu końcowych lat wojny i po jej zakończeniu natykałem się na niego to tu, to tam. Od paru już lat w Londynie — w cywilu.

Gdy padało jego nazwisko wśród pułkowych kolegów, „młodszych oficerów", nie rozjaśniało ono twarzy tym ciepło-łobuzerskim uśmiechem, którym witano wspólne, minione a miłe wspomnienia. W „kadrówkach" nie lubiano go za zbyt uniżoną usłużność wobec wyższych przełożonych. Cieszył się też zbytnim zaufaniem tych właśnie dowódców, do których powszechnie nie miano zaufania. Po wejściu w fawory jego sposób bycia z kolegami stawał się antypatyczny. Był starszy wiekiem od innych — prawdopodobnie przekroczył czterdziestkę w początkach wojny.

Mało go znałem, był mi raczej obojętny — może trochę więcej niż inni, z którymi miałem krótkie kontakty bez spięć. Powierzchownością nie budził sympatii. Nieprzyjemnie otyły, z małymi oczkami, z takim zadartym nieco noskiem. W chwilach niebezpieczeństwa dotykalnego tracił się całkowicie. Jego otyłość nikła w oczach za pierwszym odgłosem strzałów czy detonacji. Jak przekłuty balonik zwisał w fałdach strachu. Zazwyczaj szczelnie wypełniona powłoka jego osoby opadała luźno, jak półpełny worek czegoś miękkiego.

Jego zbyt wyraźna reakcja na „muzykę wojny" była jednym z powodów mojej podświadomej oziębłości. Uczucie to starałem się zwalczyć rozsądkiem: taka jest widać jego „konstytucja naturalna", taka już właściwość organiczna, której nie zawinił. Nie były jednak miłe i inne jego cechy.

W Londynie, w czasie krótkich przypadkowych spotkań, zamienialiśmy po parę słów. Kształty jego w cywilnych garniturach były coraz to pełniejsze, okrąglejsze. Widać było, że „jest w siodle". Rozłupywane dobrobytem swojej osoby ubrania zastępował coraz to nowymi, elegantszymi, lepszego kroju. „*Prosperity*" wprost biła z jego postaci, stroju, ruchów, z zachowania pewnego siebie, niemal nonszalanckiego.

Objawy te wzrastały o znaczną dozę za każdym nowym spotkaniem. Coraz też rzadziej przystawał na krótkie pogawędki, czy też przysiadał się w „*busie*" lub „*tubie*". Przestawał już widzieć dawnych kolegów w momentach zetknięcia się w wielkomiejskim ruchu. Powodzenie, wnosząc z wyglądu — nie opuszczało go. Szło przed nim i za nim. W końcu przestawał nawet poznawać kolegów. Zachowywał się antypatycznie, tak jak w okresach powodzenia i „zaufania" u dowódców. Zyskał zaufanie losu — prosperował.

Rozpoznając go więc na schodach, wolałem przejść dalej. Musiałem jednak zdradzić rozpoznanie jakimś mimowolnym gestem. Reakcja na ten „ślad" gestu była nieoczekiwana. Podchwycił go skwapliwie, zbliżył się śpiesznie i przywitał niemal serdecznie. Wszedł przy tym z półmroku w ramy światła.

Już w pierwszym mgnieniu wydał mi się znacznie szczuplejszy. Teraz rzuciły się w oczy dalsze zmiany i szczegóły. Był nieogolony i to od paru dni. Ubranie, choć z dobrego materiału — wyświecone i po prostu wisiało na nim. Niewiele pozostało znaków świetnego kroju, jak i niewiele z bogatych kształtów jego osoby. Kołnierzyk, teraz znacznie za duży — zmięty i brudny. Nieogolony ciemny zarost przy resztkach siwiejących włosów tworzył dziwne obramowanie dla wpadniętych, chociaż powiększonych oczu i drgających, wygiętych w dziecinną podkówkę ust.

Z dawnego błyszczącego dobrobytu nie pozostało nic. Był to obraz klęski i upadku. Toteż zostałem z nim przez chwilę, mimo czekających na mnie przyjaciół, starając się zachować i prowadzić rozmowę jak najnaturalniej. Zrozumiał widać, że trudno mi pytać, czy też nie mógł opanować potrzeby wywnętrzenia się — zaczął sam mówić.

A no — handlował. Nie, nic zdrożnego! Może na początku trochę, gdy nie miał z czym zacząć. Uczciwy handel. Miał wspólnika i „*strohmana*" brytyjskiego. Interes szedł dobrze. Coraz lepiej. Spłacił wspólnika i został sam z Brytyjczykiem. Miał coraz większe obroty, coraz większe zamówienia. Dostawiał hurtem towary, na których się znał, które jednak łatwo ulegały zepsuciu. Szło bardzo dobrze.

Ostatnio chciał przyśpieszyć nieco tempo wzrostu dochodów. Wziął znaczniejszy kredyt na murowany interes, na tranzakcję o wiele większą, niż dotychczasowe. W ciągu kilku dni wszystko diabli wzięli. Lata pracy i wysiłku nad zebraniem kapitaliku. Najpierw strajk i opóźnienie w dostawach. Zakupiony towar psuł się. Polisa ubezpieczeniowa — dość lekkomyślnie spisana — nie pokrywała tego rodzaju strat. Potem przyszły mrozy i dalsza przerwa w transporcie. Reszta towaru przepadła, prawie bez odszkodowania. Wielki interes, z kredytem, reasekurowany na wszystkie strony — może to znieść. Tu, cudzoziemcowi, przepadło wszystko. Resztki, jakie były, złapał „*strohman*", jako formalny właściciel i kredytodawca. On został, jak stał. Gorzej, bo przy wysiłkach ratowania co się da — zbył się osobistych sprzętów i strojów. Jest bezdomny.

Sam jestem „na zmniejszonych poborach". Ledwo, ledwo, właściwie — nie wiążę końca z końcem. Nie mieszkam w Londynie. Szukam w myśli, czym mogę pomóc. Czy był na kolacji? Tak, tak, ale nie ma gdzie spać... Nie ma na zapłatę „hostelu".

Zszedłem na dół załatwić sprawę jego noclegu. Natykam się na niespodziewaną trudność ze strony dawnego podchorążego z tego samego pułku, co „handlowiec". „Jemu nocleg? Nie! Nie poznawał, taki był wielki, tak rósł, puszył się... Nie! Zresztą niech sam poprosi". W końcu sprawa się jakoś układa, z pewną satysfakcją dla byłego podchorążego.

Po godzinie śpieszę na inne spotkanie, do innego klubu, gdzie jest jasno, ciepło, gdzie pachną dobre paryskie perfumy. Przy wysiadaniu z taksówki (luksus!, ale nie byłem sam i taka plucha...), przed wejściem zauważyłem spacerującą sylwetkę. Bez płaszcza, bez kapelusza, z podniesionym kołnierzem marynarki. Tak, to był mój handlowiec. Może szukał nowego wspólnika wśród wychodzących „klubowców"? Może pomocy doraźnej?

Było mi nieprzyjemnie. Za taksówkę, za niego, za jego obecność tutaj. Udałem, że go nie widzę. Niesmak się powiększył. Nie powinien tu szukać szansy — nie na tym deszczu, w poniżeniu.

*JAN PRZESTROGA*

# Książka I. Dywizji Pancernej

1. Dywizja Pancerna gen. Maczka szła w walce z kraju do kraju, najpierw jako „Czarna Brygada" szlakiem zbrojnego odwrotu, a potem wspaniałą drogą historycznych zwycięstw, niosąc wolność Francuzom, Belgom i Holendrom.

Ten ostatni jej okres był również twardy i okupiony bolesnymi stratami, ale i wdzięczny, bo żołnierzom towarzyszyła wszędzie gorąca wdzięczność wyzwalanych narodów. Ludzie witali ich ze łzami radości, dziewczęta rzucały się na szyję, czołgi szły naprzód zasypane kurzem i kwiatami, a z bitewną wrzawą mieszały się gromkie okrzyki w różnych językach: „Niech żyje Polska!". Wreszcie, jako jedyna jednostka polskich wojsk lądowych na Zachodzie, 1. Dywizja Pancerna zaznała rozkoszy bicia wroga i ostatecznego zdeptania go na jego własnej ziemi.

Walcząc o Polskę, Dywizja stała się jednak w pewnym sensie również własnością i Francuzów, i Belgów, i Holendrów. Czarny naramiennik jest rzeczą bliską i swojską w wielu miastach i okolicach Europy Zachodniej. Jeżeli kiedykolwiek ziszczą się sny politycznych marzycieli i powstaną Stany Zjednoczone Europy — polska 1. Dywizja Pancerna przede wszystkim będzie miała prawo do odrodzenia się i kontynuowania swej tradycji, jako jednostka wojsk państwa wszecheuropejskiego. Nie sięgając jednak do utopijnej przyszłości polscy żołnierze pancerni zasłużyli już teraz na imię dobrego Europejczyka, bo idąc swoją ofiarną drogą ku Polsce czynili po drodze wszystko, co ludzi łączy, a nic — co by mogło być posiewem niezgody i zła.

O tej właśnie prostej, a jakże trudnej drodze żołnierskiej opowiada gruba księga, p.t. „1. Dywizja Pancerna w walce" („La Colonne", Bruksela, 1947) — owoc zbiorowej pracy Dywizji. „Nie jest ona żadnym studium operacyjnym czy taktycznym — objaśnia gen. Rudnicki w słowie wstępnym — nie jest nawet historią Dywizji, bo ta zapewne doczeka się kiedyś swego dziejopisarza — jest to po prostu luźny zbiór wspomnień i opis wydarzeń zestawiony w sposób chronologiczny".

A wielka szkoda, że Komitet Redakcyjny książki poprzestał jednak na tak skromnym założeniu. Ten bowiem rzeczywiście luźny zbiór wspomnień został zaopatrzony w tak bogato podmalowane tło, w tyle map, zestawień, ilustracji, tablic barwnych i dodatkowych przyczynków, że w konsekwencji książka robi wrażenie, że została zakrojona na miarę wielkiego, poważnego dzieła, lecz twórcom zabrakło oddechu, by doprowadzić rzecz do końca. Bo przecież, aby tego dokonać, wystarczyło by zrewidować ogólny układ książki, uporządkować treść operacyjno-taktyczną i historyczną, dodać dane odnoszące się do całości Dywizji, indeks rzeczowy i coś nie coś jeszcze, a obok części fragmentarycznych opowiadań, powstałaby część książki o dużej wartości i użyteczności dla przyszłych badaczy tego okresu dziejów.

Jeżeli więc wytykam te wady, to tylko dlatego, że książka jest wielkim osiągnięciem i pomimo te wady — stanowi cenny materiał dokumentarny. A największą zaletą książki jest autentyzm — prawda. Nie ma w niej bowiem upiększania, fantazjowania, zakłamania. Czytając ją, wierzymy w każde słowo, że właśnie tak żołnierz postępował, przeżywał, odczuwał i myślał, że rzeczywistość właśnie w ten sposób załamywała się w pryzmacie jego doznawań.

„1. Dywizja Pancerna w walce" powinna znaleźć się w każdym polskim księgozbiorze.

*E. ROM*

## KOMUNIKATY

**BIURA INFORMACJI I PORAD SPK**
**20, Queen's Gate, Terrace, London, S.W.7.**
**Oddział w Edynburgu: 13, Glencairn Crescent, Edinburgh.**

*MOŻLIWOŚCI PRACY W BELGII*

*Belgijski przemysł cierpi na stały niedobór sił roboczych. Istnieje więc szereg możliwości znalezienia pracy zarówno dla robotników niewykwalifikowanych, jak i dla fachowców. Dotychczas wszyscy przybywający na ten teren w krótkim czasie znaleźli zatrudnienie. Nie badano nawet, w jaki sposób dostali się do Belgii, czy drogą legalną, czy przez „zieloną granicę". Obecnie jednak belgijskie władze administracyjne wprowadziły szereg ograniczeń i przed podjęciem pracy cudzoziemiec winien wykazać się prawem wjazdu do Belgii. Były wypadki, że osoby już zatrudnione musiały opuścić pracę i zostały wysiedlone, ponieważ nie miały wizy wjazdowej.*

*Wszystkim tym, którzy pragnęliby przyjechać do Belgii, miejscowe władze SPK chętnie pomogą w załatwieniu formalności potrzebnych do uzyskania zezwolenia na pracę. Zainteresowani zechcą nadesłać do Zarządu Głównego Oddziału SPK — Belgia, Bruxelles, 42 rue Defacqz, dane — wyszczególnione w zamieszczonej poniżej informacji BIP-u.*

*Liczyć można na zatrudnienie jedynie w kopalni lub fabryce. Warunki są mniej więcej następujące:*

*Praca w fabryce metalowej — wynagrodzenie od 15 fr. za godzinę przy ośmiogodzinnym dniu pracy. Początkowo jako niewykwalifikowany, z tym jednak, że fachowcy wykazujący się znajomością pracy mogą uzyskać wyższe stawki. Samotni mogą stołować się w kantynach (ok. 50 fr. dziennie). Mieszkanie prywatne — najczęściej u Polaków. Po zainstalowaniu się istnieje możliwość sprowadzenia rodziny. (Porównaj dane o życiu w Belgii w nr. 3 „Naszego Znaku".)*

*Przy przesyłaniu danych należy podać, czy kandydat reflektuje na pracę w kopalni, czy w fabryce.*

*Wjazd uzyskuje się na podstawie wyrobienia t.zw. „Permis de Travail" — pozwolenia na pracę, które wydaje się cudzoziemcom na zapotrzebowanie firmy belgijskiej. Z tego względu po przyjeździe musi się podjąć pracy, do której nastąpiło zgłoszenie. Późniejsze zmiany miejsca pracy są możliwe.*

*Podając te informacje Zarząd SPK w Belgii, nie namawia nikogo do przyjazdu do tego kraju, stwierdza jedynie, że na tamtym terenie pracuje w zupełnie znośnych warunkach poważna ilość Polaków, którzy cieszą się bardzo dobrą opinią wśród pracodawców belgijskich. Polacy są na ogół również zadowoleni z pracy, zarobki wystarczają im na zupełnie dobre utrzymanie siebie i swych rodzin.*

(D. SPK-Belgia)

* * *

*W Belgii nie ma do tej pory żadnych ograniczeń co do zawodu osób, które chcą się tam osiedlić. Każdy jednak, kto chce się osiedlić w Belgii na stałe, musi przed złożeniem podania o wizę posiadać zezwolenie na pracę, t.zw. „Permis de Travail", które wydaje belgijskie ministerstwo pracy (Ministère du Travail et de la Prevoyance Sociale — Office de la main d'oeuvre — rue des Petits Carmes, 33, Bruxelles). Zezwolenie tego rodzaju wspomniane ministerstwo wydaje na podstawie wniosku pracodawcy, z czego wynika, że starania o wizę trzeba rozpocząć od znalezienia pracodawcy, który by wystąpił o zatrudnienie kandydata na wyjazd.*

*Pracodawcy należy dostarczyć następujące dane, które on z kolei podaje w swym wniosku do Ministerstwa Pracy; a jak powyższy komunikat z Belgii powiadamia, tamtejsze władze SPK są gotowe przyjść z pomocą w załatwieniu tych formalności.*

1) *dokładne dane osobiste kandydata i jego obywatelstwo,*
2) *dwie fotografie,*
3) *świadectwo moralności, świeżej daty, pokrywające okres ostatnich 5 lat,*
4) *świadectwo lekarskie, stwierdzające, że wyjeżdżający nie ma chorób zakaźnych oraz że stan jego zdrowia jest zadawalający i że nie grozi mu leczenie szpitalne w najbliższej przyszłości. Osoby mieszkające w Londynie muszą się zwrócić o takie świadectwo do Dr. G. de Rynck, F.R.C.S., 117a, Harley Street, London, W.1, tel.: WELbeck 2070. Kandydaci, mieszkający na prowincji, mogą przedstawić zaświadczenie swego lekarza, które jednak musi być poświadczone przez władze miejscowe.*

*Z chwilą otrzymania zezwolenia na pracę kandydat na wyjazd musi wypełnić formularz wizowy w wydziale konsularnym ambasady belgijskiej (103, Eaton Square, S.W.1) oraz przedłożyć następujące dokumenty:*

1) *paszport (dla Polaków w Anglii zwykle Home Office Certificate);*
2) *pozwolenie na podjęcie pracy, nadesłane uprzednio z Belgii (Permis de Travail);*
3) *jedną fotografię;*
4) *po jednej kopii omówionego wyżej świadectwa lekarskiego i moralności (przy wystawianiu tych świadectw należy więc wziąć od razu po 2 egzemplarze).*

*Po złożeniu tych dokumentów, jeśli wiza ma być wystawiona na Home Office Certificate, Wydział Konsularny wysyła jeszcze zapytanie do belgijskiego ministerstwa sprawiedliwości, skąd odpowiedź nadchodzi zwykle po 6 tygodniach. Wówczas dopiero belgijski wydział konsularny wystawia wizę t.zw. „visa d'etablissement provisoire", która kosztuje 13s. 4d. Wiza ważna jest na rok, trzeba jednak wyjechać do Belgii w ciągu trzech miesięcy od jej wystawienia. Po roku wiza jest zwykle przedłużana na miejscu. Cała procedura wizowa od chwili wystąpienia przez pracodawcę z wnioskiem o zezwolenie na pracę do czasu wystawienia wizy trwa około trzech miesięcy.*

*Należy dodać, że dla osób, które nie mają krewnych w Belgii jest rzeczą wskazaną, choć nie konieczną, by wykazały się przed rozpoczęciem starań o wizę, że mają również zapewnione mieszkanie w miejscu pracy.*

(B.I.P.)

*SPADKI W W. BRYTANII*

*O ile na terenie W. Brytanii utworzy się spadek, którego wartość przekracza £100, wydanie takiego spadku na rzecz spadkobiercy nastąpić może dopiero po uzyskaniu przez niego t.zw. Letter of Administration, które wystawia sąd angielski.*

*Jeżeli spadkobiercy przebywają na terenie Polski, mogą starać się o Letters za pośrednictwem pełnomocnika, który musi przebywać na terenie W. Brytanii. Do starania się o wspomniane Letters of Administration pełnomocnik musi posiadać następujące dokumenty: pełnomocnictwo sporządzone w języku angielskim w odpowiedniej formie, a jeśli jest to pełnomocnictwo polskie, winne ono być tłumaczone z uwierzytelnieniem na język angielski.*

*Z pełnomocnictwa powinno jasno wynikać, że upoważnia ono pełnomocnika do przeprowadzenia postępowania przed sądem brytyjskim. Podpis upoważniającego spadkobiercy winien być w Polsce uwierzytelniony przez notariusza, a następnie podpis tegoż superlegalizowany w konsulacie brytyjskim, względnie może też być złożony bezpośrednio w tym konsulacie. O ile zmarły pozostawił testament, pełnomocnik winien dołączyć na to oryginał testamentu oraz angielskie jego tłumaczenie. Ponadto pełnomocnik powinien przedłożyć w sądzie metrykę zgonu spadkodawcy w języku angielskim.*

*Jeżeli chodzi o teren Anglii, pełnomocnik może wszcząć kroki o uzyskanie Letters of Administration w High Court of Justice, Probate Registry and Divorce Division, 9, Kingsway, London, W.C.2. Zgłaszając się o Letters pełnomocnik musi znać dokładnie stan majątku pozostawionego przez zmarłego na terenie W. Brytanii, potrzebne mu to bowiem będzie przy wypełnianiu odpowiednich formularzy. Postępowanie spadkowe może przeprowadzić również w miejscowych County Courts, a jeżeli spadek znajduje się na terenie Szkocji — w odpowiednim sądzie szkockim.*

# Chińskie mury przed polskim prawnikiem w W. Brytanii

Rzecznicy prawnych interesów stron dzielą się w W. Brytanii na dwa typy: *barristerów* i *solicitorów*. Kandydat na *barristera* musi posiadać uniwersyteckie wykształcenie oraz być przyjęty do t.zw. *Inns of Court*, czyli do jednej z czterech prawniczych organizacji zawodowych. Od *solicitora* wymagane jest posiadanie ogólnego wykształcenia, co najmniej czteroletnia praktyka w biurze *solicitora* i złożenie egzaminów prawniczych przed komisją wyłonioną z ramienia *Law Association*. *Barrristerem* może zostać także cudzoziemiec, *solicitorem* — jedynie Brytyjczyk.

Będąc z zawodu prawnikiem, udałem się do *Lincoln's Inn*, aby dowiedzieć się, jakie są możliwości uzyskania pracy w moim zawodzie. Zostałem tam poinformowany, że kandydat na *barristera* nie tylko musi posiadać wyższe wykształcenie prawnicze, ale musi w ciągu trzech lat uczęszczać na wykłady, brać udział we wspólnych obiadach, a następnie złożyć egzaminy przed komisją wyłonioną z czterech *Innów*. Opłata za przyjęcie do *Innu* wynosi £158, a koszta związane z powołaniem na *barristera* — £112.

Biorąc pod uwagę, że po otrzymaniu tytułu *barristera* trzeba liczyć jeszcze co najmniej pięć lat na wyrobienie sobie klienteli, łatwo dojść do wniosku, że zawód ten jest dostępny jedynie dla ludzi bardzo zamożnych.

Dosyć często w dziale ogłoszeń o wakujących posadach można spotkać się z określeniem *articled clerk* lub *service under articles*. Ponieważ w Polsce zjawisko to było zupełnie nieznane, dlatego sprawę tę najlepiej wyjaśnić na przykładzie. W odpowiedzi na ogłoszenie *solicitora*, że poszukuje *articled clerka*, złożyłem swą ofertę. Zostałem zaproszony na t.zw. *interview*, podczas którego sprawa została wszechstronnie wyjaśniona. *Articled clerk* jest to po prostu praktykant, który musi przejść określone przez przepisy danej organizacji zawodowej różne działy pracy (*articles*). Pracuje on pod osobistym nadzorem i odpowiedzialnością swego pracodawcy.

Ale to nie wyczerpuje całego zagadnienia. Podczas tej praktyki, nie tylko, że nic nie zarabia, ale wprost przeciwnie — sam musi płacić swemu pracodawcy. Praktyka ta trwa trzy do pięciu lat, a opłata waha się w granicach £250 do £500. W wyjątkowych wypadkach *articled clerk* może praktykować bezpłatnie, ale w żadnym wypadku nie może być płatny.

Z pojęciem *articled clerk* spotkać się można w wielu dziedzinach pracy na terenie W. Brytanii. W szczególności istnieje ono prawie we wszystkich wolnych zawodach. Dostępnym dla cudzoziemców zawodem jest także praca księgowego (*accountant*). Wymagane jest złożenie trzech egzaminów: *preliminary* (rodzaj małej matury), *intermediate* i *final examination*. Egzaminy te przedziela okres dwóch lat, w ciągu których trzeba pracować jako *articled clerk* u księgowego.

Od tych reguł istnieją pewne odstępstwa na rzecz byłych wojskowych, jednakże bezwzględnie wymagana jest trzyletnia praca w charakterze *articled clerka*. Charakterystyczna jest odpowiedź, jaką otrzymałem w *Institute of Chartered Accountants*. Na moje argumenty, że powinien być zwolniony co najmniej z *preliminary examination*, ponieważ mam uniwersyteckie wykształcenie i szereg lat pracy za sobą, a przedłożony mi regulamin przewidziany jest właściwie dla szesnastoletnich chłopców, którzy dopiero wchodzą w życie, odpowiedziano mi z uśmiechem:

— Niech pan zrozumie, że dla nas jest pan właśnie w sytuacji szesnastoletniego chłopca. Rozpoczyna pan życie na nowo, bo przecież pan w W. Brytanii nie pracował, a praca pana w Polsce, niestety, dla nas jest bez znaczenia.

*J. L. M.*

**Egoizm — to jest samobiczowanie się**

**Redaguje: Wydział Prasowy Stowarzyszenia Polskich Kombatantów — 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7 — tel. WEStern 0747.**

# Chwyt węgierski

Opanowanie Węgier przez Rosję odbywało się, w ciągu ostatnich dwóch i pół lat, od końca r. 1944, inaczej niż opanowanie Polski. Ale nie to jest istotne, że inaczej. Istotne jest to, że opanowywano. Dzisiaj, po jaskrawym wyparciu węgierskiego prezesa rady ministrów, p. Ferencz Nagy'ego, ze stanowiska, 30 maja 1947, różnice zasuwają się w cień wobec rozstrzygającego podobieństwa opanowywania tu i tam.

*

Wojska rosyjskie wkroczyły na obszar Węgier, zajmując od razu dwa wielkie miasta, Szegedin i Debreczyn, w październiku 1944.

Głowa państwa, admirał Horthy, któremu Niemcy już od marca 1944 narzucili, zamiast rządu Kallay'a, broniącego niepodległości Węgier, rząd gen. Sztojay'a, próbował zrzucić jarzmo niemieckie. Dnia 15 października 1944 wydał ogłoszone przez radio w Budapeszcie orędzie, zapowiadające zwrócenie się do Sprzymierzonych przeciw Niemcom o zawieszenie broni. Tegoż dnia, w drodze zamachu, Niemcy osadzili na Węgrzech rząd Szalassi'ego, ogłaszając, że admirał Horthy zrzekł się władzy, po czym wywieziono go do Niemiec.

Już 21 grudnia 1944 utworzony został w Debreczynie, czyli w części kraju zajętej przez wojska rosyjskie, rząd przeciw-niemiecki pod przewodnictwem gen. Miklosa z udziałem stronnictwa drobnych rolników, socjalistów, komunistów i grup prawicy. Rząd ten stanął na gruncie orędzia admirała Horthy'ego o zawieszeniu broni ze Sprzymierzonymi. A dnia 28 grudnia 1944 ogłosił wypowiedzenie wojny Niemcom.

Dnia 21 stycznia 1945 podpisany został układ zawieszenia broni między Węgrami a Rosją, Wielką Brytanią i St. Zj. Ameryki.

A tymczasem wojska rosyjskie, posuwając się w głąb Węgier kręgiem od północy, wschodu i południa, w walkach z Niemcami, zajęły w styczniu 1945 Pest, w lutym Budę, a do końca marca całe Węgry były w ich ręku.

We wrześniu 1945 rząd tymczasowy gen. Beli Miklosa zapowiedział wybory. Władze rosyjskie zażądały, jak to się mówiło, dla zgody i spokoju w kraju, by istniała jedna tylko, wspólna lista. Podzielono by mandaty tak, jak w powołanym bez wyborów w Debreczynie Tymczasowym Zgromadzeniu Narodowym, gdzie komuniści mieli sami o kilka miejsc więcej niż drobni rolnicy, a z socjalistami i przedstawicielami związków zawodowych mieli większość. Ale stronnictwa nie porozumiały się, więc zawiadomiły tylko władze rosyjskie, że pójdą do wyborów osobno, lecz zobowiązują się po wyborach utworzyć rząd, w którym zasiędą przedstawiciele wszystkich głównych stronnictw.

Wybory 24 listopada 1945 dały przytłaczającą większość drobnym rolnikom. Uzyskali oni 245 miejsc na 409, czyli własną większość, podczas gdy komuniści zdobyli 70, socjaliści 69, narodowi wieśniacy 23, demokraci 2. Wynik ten, zbyt wyraźny, zaskoczył władze rosyjskie.

Ale, w myśl umowy, 15 listopada 1945, utworzony został rząd, złożony z przedstawicieli głównych stronnictw, w którym drobni rolnicy, z duchownym Zoltanem Tildy'm jako prezesem rady ministrów, mieli osiem miejsc, komuniści i socjaliści po cztery, narodowi wieśniacy jedno miejsce.

Dnia 1 lutego 1946 Zgromadzenie Narodowe uchwaliło ustawę obwieszczającą ustrój republikański Węgier, przyjmując zarazem samo nazwę Zgromadzenia Ustawodawczego. Tegoż dnia prezydentem obrany został prezes rady ministrów Tildy. Dnia 4 lutego 1946, ze zgodą wszystkich stronnictw, przewodniczący Zgromadzenia Ustawodawczego p. Ferencz Nagy, drugi wybitny przewódca drobnych rolników, został prezesem rady ministrów, poza tym niezmienionej. Po nim zaś miejsce przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego zajął również drobny rolnik ksiądz Bela Varga.

Wszystko to razem, z tak stanowczą przewagą samych drobnych rolników w kraju, spychającą komunistów, oraz z odpowiednimi wpływami tego stronnictwa chrześcijańskiego, narodowego i umiarkowanego we władzach ustrojowych państwa, było dalekie od tego, czego chciała Rosja.

*

A gdy Rosja czegoś nie chce w krajach, które zajęła i które zamierza utrzymać pod swą władzą przy takich czy siakich pozorach, niedogodny dla niej stan rzeczy długo nie potrwa.

Utworzony w początku r. 1946 rząd, z przewagą stronnictwa drobnych rolników pod przewodnictwem p. Ferencz'a Nagy'ego, nie stąpał po różach. Prawo mówiło mu, że Węgry, po wojnie są państwem niepodległym, które ma podpisać układ pokojowy, a tymczasem zadaniem rządu jest utrwalenie tej niezależności prawnie przyznanej. Rzeczywistość zaś pouczała go, że Węgry są pod władaniem Rosji, która z niepodległości i niezależności uznaje tylko pozory, a za istotne prawo w tym kraju uważa tylko swą wolę.

Rząd p. Nagy'ego nie pomijał żadnej możności przenoszenia spraw z gruntu sam-na-sam z Rosją na grunt międzynarodowy z udziałem Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych Ameryki, jako uczestników układu o zawieszeniu broni. Sprzeciw amerykański i brytyjski, który już w jesieni 1945 utrudnił Rosji i uniemożliwił narzucenie jednej listy w wyborach, wyraził się również w wystąpieniach amerykańskich i brytyjskich przeciw narzuconej Węgrom przez Rosję umowie gospodarczej z sierpnia 1945, niewolniczo przykuwającej Węgry do Rosji, której ciężar uwydatniał się w ciągu r. 1946. Z biedą, lecz nie bez nadania polityce narodowej Węgier wyrazu rozumianego w świecie, dobrnął rząd p. Nagy'ego do końca r. 1946.

Zresztą powściągliwość wobec opierających się o Rosję komunistów, którą sobie stronnictwo drobnych rolników z p. Nagy'm na czele narzuciło jako konieczność polityczną, ciężyła jego zwolennikom tak dalece, że 20 posłów, przeciwnych współdziałaniu z komunistami w rządzie, usunięto koło połowy r. 1946 ze stronnictwa, po czym utworzyli oni nowe Stronnictwo Wolności.

Od stycznia 1947 zaczęła się rozgrywka przeciw drobnym rolnikom w trybie moskiewskim.

Jak zwykle w takich potrzebach, NKWD wprost lub przez swe miejscowe służby ... wykrywa spisek.

Dnia 31 grudnia 1946 ogłoszono w Budapeszcie urzędowo, że w ciągu ostatnich dwu tygodni uwięziono, jako oskarżonych o spisek przeciw państwu, oficerów i członków prawego skrzydła drobnych rolników, w liczbie, jak po kilku dniach dodano, 55-ciu. Rozkazy uwięzienia wydawał komunistyczny minister spraw wewnętrznych i komunistyczny kierownik departamentu politycznego ministerstwa wojny. W ciągu pierwszej połowy stycznia 1947 zaczęto ogłaszać nazwiska posłów i działaczy z grupy drobnych rolników oskarżonych lub podejrzanych o udział w t.zw. spisku.

Dnia 15 stycznia, po naradzie kierowniczych osobistości stronnictwa drobnych rolników, tj. prezydenta Tildy'ego, prezesa rady ministrów Nagy'ego i przewodniczącego Zgromadzenia Ustawodawczego ks. Varga'y, oraz sekretarza generalnego stronnictwa p. Beli Kovacs'a, grupa poselska drobnych rolników uchwaliła wydalić dwu oskarżonych i wybrała komisję śledczą w tej sprawie, w której zresztą uwięziono także członków innych grup, nie wyłączając komunistów.

W lutym 1947 władze rosyjskie posunęły się dalej i już same, a nie przez władze węgierskie, uwięziły owego właśnie p. Belę Kovacs'a, sekretarza stronnictwa drobnych rolników.

A w końcu maja 1947, na podstawie zeznań p. Kowacs'a...przesłuchiwanego przez NKWD, oskarżyły o udział w spisku także prezesa rady ministrów p. Nagy'ego, przebywającego w tym czasie w Szwajcarii, który wobec tego wolał zrzec się swego urzędu z zagranicy niż wracać do kraju, by dostać się w ręce działającego tam bezprawnie NKWD rosyjskiego.

Dalszym ciągiem — ale oczywiście nie końcem — były 31 maja 1947 przesunięcia w rządzie, osłabiające stanowisko drobnych rolników.

*

Nie kijem go to pałką. Nie od razu to powoli. Nie dziś to jutro.

Ale, gdzie Rosja postawiła stopę w Europie Środkowo-Wschodniej i położyła swą ciężką rękę na losach dziesięciu krajów, dążenie jest wszędzie to samo: władanie Rosji a niewola tych narodów.

Na Zachodzie wielu a wielu lubuje się nadmiernie raczej w rozstrząsaniu zawikłanych różnic niż w uznaniu bardzo prostej i nieodmiennej istoty rzeczy.

*STANISŁAW STROŃSKI*

# Dobra książka dla młodzieży

Nie łatwo było o nią nigdy; tym trudniej teraz na uchodźstwie. Nieraz słyszy się na to skargi nauczycieli i opiekunów organizacji, młodzież polską grupujących. Jeszcze od czasu do czasu pojawi się książka dla dzieci — choć i tych wydawnictw za mało — dla młodzieży nie pisuje nikt. Dać dobrą książkę dla młodzieży jest talentem specjalnym, składającym się z wybornego władania piórem i zdolności pedagogicznej. Nasza młodzież na uchodźstwie, która tyle przeżyła i od dzieciństwa żyła w warunkach nienormalnych, powodujących nadmiernie szybki rozwój świadomości, często nadczułość nerwów, a czasem nawet skoszlawienia duchowe, nie jest z pewnością łatwym czytelnikiem.

Właściwie dobrą książką dla młodzieży jest taka, która może zainteresować i dorosłych. Klasycznym przykładem tego jest „*Sans famille*“ (Bez rodziny) Hektora Malot, odznaczona na konkursie Akademii Francuskiej, jako utwór, odpowiedni dla dzieci, młodzieży i dorosłych. W naszej literaturze pierwszeństwo oddać by można chyba arcydziełu Sienkiewicza „W pustyni i w puszczy“. W swoim czasie zaczytywaliśmy się — my, starsi dzisiaj ludzie — w Przyborowskim, w jego opowiadaniach historycznych. Obecnie przeżywamy okres wielkiej pustki, skomplikowany zmianami wojennymi i powojennymi, a młodzież, t.j. chłopcy i dziewczęta w wieku lat 8–14, naprawdę nie mają książek dla siebie. Zanim nie chwycą w ręce Sienkiewicza.

W tych warunkach pojawienie się na rynku księgarskim dobrego utworu z tego zakresu powitać trzeba z uznaniem i radością. Książką tą jest „Trop nad jeziorem“ Mieczysława Lisiewicza.*) Wydanie drugie; z pierwszego już ani śladu.

Fabuła opowiadania jest prosta. Mieszka we Lwowie skapryszony chłopak, mamin synek i paniczyk, snob, irytujący i nieznośny. Koledzy poznali się na nim dawno, a pewnego dnia przebiera się cierpliwość rodziców. Zamiast na wakacje do Włoch, którą to wycieczką ananasik dawno się chełpił, musi pojechać do ciotki aż nad Narocz. Poczytuje to sobie za nieszczęście. Tam jednak, pod wpływem otoczenia, przyrody i doznanych przeżyć, dobre instynkty chłopca biorą górę. Po wakacjach wraca do szkoły odrodzony. Ba, z trutnia wyrósł prawie na bohatera.

Gdyby to było tylko to, to mogło by być niezbyt ciekawe. Tymczasem autor potrafił tak tę prostą historię podać, tak spowić ją we wszystkie wdzięki nadjeziorne, tyle powiedzieć ciekawego o przyrodzie i zwierzętach, że książkę czyta się jednym tchem, a potem powraca do niektórych rozdziałów, bo są piękne. Lisiewicz — to autor wydanej przed paru laty „Kroniki naroczańskiej“, lwowianin, rozkochany w poezji jezior białoruskich. Tamta jego książka była świetna, a ta, choć inna w literackim zamierzeniu, dobrze swej poprzedniczce dotrzymuje kroku. Tajemnica uroku obydwóch leży jeszcze w tym, że tak dojmująco i pięknie przypominają nam Polskę. Jej pełne uroku, zrabowane nam ziemie wschodnie.

Powiem krótko, że wyjątki z „Tropu nad jeziorem“ wydają mi się godne czytania na ogniskach harcerskich. To wielka pochwała, ale się nie waham jej dać.

Żałuję, że jestem za stary, żeby tę książkę dostać na gwiazdkę.

*ANTONI BOGUSŁAWSKI*

*) Mieczysław Lisiewicz. *Trop nad jeziorem*. Opowieść naroczańska. Ilustrował Zbigniew Pronaszko. „Orbis“, Londyn, 1946. Stron 347.

*Kiedy wlazłeś między wrony . . .*

# One hole in the sky, two holes in the nose

Pewien bardzo dobrze zarabiający powieściopisarz i dramaturg, W. Somerset Maugham, rzekł niedawno, że „...nie ma języka, w którym byłoby trudniej pisać niż w angielskim. Nikt nigdy nie nauczy się wszystkiego, co trzeba wiedzieć o tym języku. W długiej historii naszej literatury byłoby trudno znaleźć więcej niż sześciu ludzi, którzy pisali po angielsku bez błędu“ („*The Gentleman in the Parlour*“).

Nie przejmuj się tym twierdzeniem i nie zniechęcaj się, Adasiu! Na pewno wśród literatów angielskich trafi się więcej, niż sześciu takich, którzy pisali nieźle, znajdziesz zaś między nimi także Polaka, Józefa Korzeniowskiego — „Conrad“a, który, chociaż cudzoziemiec, był mistrzem prozy angielskiej. Do końca życia“ „*he looked and spoke like a foreigner*“ (wyglądał i mówił, jak cudzoziemiec), ale pisał przepięknie: „*That he had got to the heart of the English language more closely than many writers born to that tongue is evident in his first book, in spite of a few oddities*“. (To, że doszedł do serca (sedna) mowy angielskiej bliżej niż wielu pisarzy, urodzonych do tego języka (albo, w wolnym przekładzie: który był ich językiem macierszytym), jest widoczne już w jego pierwszej książce, na przekór odrobinie dziwacznych form) — czytamy o nim w „*The Concise Cambridge History of English Literature*“. Oczywiście, nie brak i głosów krytycznych, spotkać się więc można ze zdaniem: „*It isn't really an English style... It's as if it was being translated out of another language*“. (To nie jest prawdziwie angielski styl... Jest to tak, jakby to było przetłumaczone z innego języka) — pisze J. B. Priestley w książce „*Bright Day*“. Wydaje mi się, że w słowach tych przejawia się zazdrość, żółta jak przedwojenna cytryna.

Przykład Conrada wskazuje, że i przed tobą, Adasiu, stoją otworem bogate, niedające się obliczyć możliwości. Jak wszystko dobrze pójdzie, możesz zostać tym siódmym z kolei literatem, piszącym bez błędu po angielsku. Tym bardziej trza się nam imać roboty. Stanęliśmy dopiero na skraju lasu, w którym, im dalej posuwamy się, tym więcej będzie drzew, chaszczy gęstych, i tym więcej kwiatów o dziwnej, pięknej woni. Musisz zasmakować w tych kwiatach, musisz zadomowić się w tej kniei, pełnej zasadzek i grubego zwierza. Dzisiaj pogadamy o liczbie mnogiej. Spotykasz się z nią co krok, czasem nie zdając sobie z tego sprawy. Ot, wstępujesz do instytucji, która ma napis „*Gentlemen*“, nie do tej, którą zdobi słowo „*Ladies*“. Liczba mnoga, zwyczajna, choć nieprawidłowa, liczba mnoga.

Na Piccadilly, w jasny jak piorun dzień, pewien stary major zatrzymał pewnego starszego strzelca, pytając dlaczego tenże starszy strzelec nie oddał ukłonu.

— Byłem zamyślony, panie majorze. Ja zawsze, gdy idę przez miasto, myślę.

— Hm, myślicie, idąc przez miasto... A guzik, ten drugi od samego dołu, niezapięty! W ogóle, coście wy za jedni?

— Makowscy.

— Jakto „Makowscy“? Przecie ja o was jednego pytam!

— Bo ja myślałem, że pan major pyta równocześnie i o mojego brata...

Nieporozumienie! Grube nieporozumienie! Starszy strzelec myślał, że „wy“ oznacza liczbę mnogą, podczas gdy stary major miał w głowie liczbę pojedynczą, stawiając pytanie, w którym „wy“ boczyło się na „jedni“. Chcąc tego nieporozumienia uniknąć na przyszłość, postarajmy się określić różnicę między liczbą mnogą a pojedynczą. „Liczba“ jest to tajemnicza właściwość, w którą chyba sam Pan Bóg osobiście zaopatrzył słowa, by za pomocą pewnych form wyrażać mogły pojęcie jedności (jednostki) albo też mnogości. „*One hole in the sky, two holes in the nose, three holes in the pants*“ (Jedna dziura w niebie, dwie dziury w nosie, trzy dziury w gaciach).

1) W języku angielskim istnieją dwie formy l. mn., prawidłowa i nieprawidłowa. Pierwszą tworzy się przez dodanie końcówki *-s* lub *-es*. Przygniatająca większość rzeczowników najczęściej używanych zadowala się skromną końcówką -s. „*Boil-boils*“, „*spot-spots*“, „*pimple-pimples*“, „*freckle-freckles*“ (czyrak-czyraki, plama-plamy, pryszcz-pryszcze, pieg-piegi). Guliver tak opisuje biust olbrzymki: „*The strange appearance of the spots, pimples, and freckles on this woman's skin made me reflect upon the fair skins of our English ladies, who appear so beautiful to us because they are of our own size, and their defects not to be seen but through a magnifying glass*“ (Dziwny widok plam, pryszczów i piegów na skórze tej kobiety kazał mi myśleć o czystej cerze (dosłownie o czystych cerach) naszych angielskich pań, które wydają się nam tak piękne, ponieważ są tej samej miary co my, ich zaś defekty nie dadzą się ujrzeć jak tylko przez szkło powiększające).

Czyli, bracie, wiemy już niemal wszystko o najprostszej formie l. mn., tworzonej za pomocą końcówki *-s* lub *-es*. A propos brata: „*brother-brothers*“, ale przeważnie wtedy, gdy mamy na myśli zwykłych braci, nie n.p. braci w Chrystusie, których zowiemy „*brethren*“ (brać). Polską sektę religijną t.zw. Socynian, którzy odegrali pewną rolę na przełomie XVI i XVII w. w rozwoju reformacji w Anglii, zwano tu „*Polish Brethren*“. Obecnie, t.j. w połowie XX w., radzę mym czytelnikom wstrzymać się od projektowania jakichkolwiek reform na gruncie tej nieco staroświeckiej wyspy.

Znowuż mała uwaga w sprawie trudności, jakie wspomniana już matka Kate spotyka przy nauce języka polskiego. Mówisz po polsku „bracia“, „brać“, „psubraty“ i n.p. u Mickiewicza spotkasz wyrażenie „bratowie“. Mówisz „królowie“ i „króle“ (zarówno króle-króliki, jak n.p. w kolędzie „Króle witają“); poza tym panoszy się całe mnóstwo rozmaitych form, jak „pułkownicy“, „pułkownikowie“, „pułkowniki“. Istnieje wiele końcówek, nie tylko w zależności od tego, do której deklinacji ma przydział dany rzeczownik, ale także i w zależności od naszego stosunku uczuciowego czy naszej krytycznej postawy wobec pewnego faktu, w związku z czym zwykliśmy mówić n.p. „poszedł w ministry“, albo „w generały“. Po angielsku jest „*bird-birds*“ (ptak-ptaki), po polsku mamy także formę poetycką „ptacy“ lub nawet „ptakowie“. Jakież to bogactwo! Jaka rozmaitość! Ale tym bardziej nie poprawiaj zbyt często swej *girl-friend!* Raczej, jak się rzekło wyżej, sącz po kropelce gorycz gramatyki naszej w małżeństwo mieszane lub też w sytuację zbliżoną do małżeństwa, to pewna bowiem, że jeśli idzie o sprawę liczby, język angielski jest znacznie łatwiejszy niż polski.

2) Rzeczowniki, kończące się w l. poj. na *-ch*, *-tch*, *-s*, *-sh*, *-tz*, *-x*, oraz na samogłoskę *-o*, nie zadowalają się w l. mn. końcówką *-s*, ponieważ należy im się końcówka *-es*, dodana do liczby poj.: „*illness-illnesses*“ (choroba- choroby), „*varix-varixes*“ (żylak-żylaki), „*rash-rashes*“ (wysypka-wysypki), „*appendix-appendixes* lub *appendinces*“ (zapalenie ślepej kiszki) i t.d., ale „*ox-oxen*“ (wół-woły), natomiast „*fox-foxes*“ (lis-lisy).

„*After six glasses of stout and two waltzes with Mary and after ten kisses John got from Harry two punches on both jaws and a wound four inches in length.*

*John's ashes carried in one of the coaches belonging to „Funerals and Cremators, Ltd.“ were thrown into ditches behind some bushes. There were some speeches and torches were lighted under the branches of some weeping willows which wept so loudly, that Harry had to say to them: „Shut up, asses!*“ (Po sześciu szklankach porteru i po dwóch walcach z Mary i po dziesięciu pocałunkach John dostał od Harry'ego dwa uderzenia w obie szczęki i ranę, szeroką na cztery cale. Popioły Johna, wiezione w jednym z wozów, należących do spółki z ograniczoną odpowiedzialnością „Pogrzebowi i specjaliści od palenia zwłok“ zostały wyrzucone do rowów za krzakami. Było kilka mów i zapalono pochodnie pod gałęźmi płaczących wierzb, które płakały tak głośno, że Harry musiał powiedzieć do nich: „Milczcie, osły!“).

3) Rzeczowniki, kończące się na *-o*, są przeważnie cudzoziemskiego pochodzenia. Te refiużaki, te „*Displaced Words*“, choć niby dawno powinny dostać obywatelstwo brytyjskie, przecież są na innych prawach, otrzymują bowiem w l. mn. po większej części końcówkę *-es*: „*Potato-potatoes*“ (ziemniak-ziemniaki) „*hero-heroes*“ (bohater-bohaterzy) „*lumbago-lumbagoes*“ (postrzał-postrzały), „*tomato-tomatoes*“ (pomidor, -y), „*Negro-Negroes*“ (Murzyn, -i) „*prurigo-prurigoes*“ (świerzbiączka, -i). N.b. jest to naukowy termin, lepiej używać popularnego słowa „*mange*“ lub „*itch*“.

Ponieważ jesteś człowiekiem na ogół myślącym, zdziwi cię, Adasiu, l. mn. „*pianos*“ (fortepiany) albo „*photos*“ (fotografie), ponieważ byłbyś skłonny oczekiwać końcówki *-es*. Są to stosunkowo świeże skróty słów, które powinny brzmieć w l. poj. „*pianoforte*“, „*photography*“, stąd więc przykleiła się do nich końcówka -s w l. mn. Także i „*bamboo*“ (bambus), choć niby kij, ma przecież tylko jeden koniec w l. mn., mianowicie -s: „*bamboos*“. „*The Negroes after having destroyed two pianos and devoured hundred photos got at least ten bamboos each*“ (Murzyni, zdemolowawszy dwa fortepiany i pożarłszy sto fotografii, dostali co najmniej po dziesięć bambusów każdy).

4) Jeśli rzeczownik w l. poj. kończy się na *-y*, poprzedzone spółgłoską, wtedy tworzymy l. mn., przekształcając *-y* na *-ie* i dodajemy końcówkę *-s* „*Lady-ladies*“ (pani, -ie), „*obituary-obituaries*“ (zawiadomienie, a, pośmiertne), „*gipsy-gipsies*“ (cygan, -ie), „*whisky-whiskies*“.

Cyganie — „*gipsy*“ zeszli na psy (*went to the dogs*), są bowiem chyba jedynym narodem, którego nazwę pisze się po angielsku najczęściej przez małą literę, co pozostaje zapewne w związku z koczowniczym trybem życia tych włóczęgów. — „*Two gipsies stole three lorries loaded with candies, violated five ladies and did many obscenities*“ (Dwaj cyganie ukradli dwie ciężarówki, naładowane cukierkami, zgwałcili pięć pań i dokonali wielu rzeczy sprośnych). Wystarczy!

Jeszcze jeden wyjątek na dokładkę. L. mn. od „*day*“ (dzień) jest „*days*“, od „*boy*“ (chłopiec) — „*boys*“. Usprawiedliwia się to tym, że tutaj *y* nie jest samodzielne, ale jest częścią dwugłoski „*ay*“, „*oy*“, na którą kończy się słowo.

Teraz już naprawdę wystarczy.

*ZYGMUNT NOWAKOWSKI*

# SZCZYPTA HYPTA

## HISTORIA O MUZYKU

*Pewien muzyk co wieczór*
*uderzał w talerze,*
*grając w wielkiej orkiestrze*
*w stołecznej operze.*

*Orkiestra była sławna,*
*więc ów talerzysta*
*dawno, jeszcze przed laty*
*chętnie do niej przystał.*

*W orkiestrze go ceniono*
*dla prostego faktu,*
*że zawsze bijąc w mosiądz,*
*uderzał do taktu.*

*On też nie miał orkiestrze*
*nic do zarzucenia :*
*ni zbytniego pośpiechu,*
*ani — opóźnienia.*

*Od lat już tak grywali*
*w zgodzie i harmonii,*
*czasem w gmachu Opery,*
*czasem — Filharmonii...*

*Aż raz muzyk powiedział,*
*że ma dosyć tego*
*i że z nimi nie będzie*
*grać już od pierwszego.*

*Bo go — rzekł — z równowagi*
*ciągle wyprowadza*
*orkiestra, co się z jego*
*talerzem — nie zgadza !*

*Pozwolono mu odejść.*
*Poszedł w przekonaniu,*
*że nie on, lecz orkiestra*
*nie zna się na graniu...*

*Pożył jeszcze lat parę,*
*wreszcie umarł z głodu*
*zostawiwszy testament*
*dla potomków rodu :*

*Zanim całą orkiestrę*
*o fałsz posądzicie,*
*upewnijcie się sami*
*czy wy — nie błądzicie.*

*J. HYPT*



SPIS RZECZY



# NA PACZCE OD MYDŁA...

*Obywatele i Obywatelki! Zgniła emigracjo i szczera demokracjo ! Przyjaciele i wrogowie ludu ! Faszyści i czerwonoskórcy !*

*Doszły do nas aż tutaj do Hyde Parku wieści o straszliwej drożyźnie panującej obecnie w Polsce, o spekulacji, o plajcie handlowej i przemysłowej sławetnego „rządu". Na tle tych nowin jakże specjalnego posmaku nabiera jedyna „radosnotwórcza" statystyka ogłoszona w komunistycznym „Głosie Ludu" : „W pierwszym kwartale bieżącego roku* fabryki drutu *i* gwoździ *w Polsce — jedne z nielicznych — zrealizowały plan produkcyjny w* 114-*tu procentach. Kwiecień zaznaczył się wzrostem produkcji..."*

*Hm...* Druty *— uważacie moi mili demokraci —* gwoździe *i* siatka.

*Musieli otrzymać jakieś większe zamówienie rządowe... Wiedzieliśmy w stu procentach pewnie, że gwóźdź po gwoździu wbijają tam do wolności i niepodległości, że odrutowali wybory i czerwoną siatką otoczyli kraj — jednak nie spodziewaliśmy się, że tak szczerze i tak cynicznie wyznają nam to w statystyce...za pierwszy kwartał. Niepokojący jest również ten kwietniowy wzrost produkcji drutu — pewnie kolczastego — i to zaraz po „amnestii".*

*Szkoda, że korzystając z aktualnego tematu nie ogłoszono oficjalnie, ilu z pośród* 50 *tysięcy żołnierzy Armii Krajowej zwolnionych zostało z otoczonych drutem łagrów sowieckich, gdzie gniją za to, że walczyli z Niemcami, gdzie pieczołowicie strzeże ich* „uzbrojona mniejszość", *jak frywolnie nazwał brutalną siłę sowiecką z okazji wypadków na Węgrzech — Mr. Harry Truman.*

*Już to trzeba przyznać mili demokraci, że ta nowa granda na Węgrzech obnażyła przed oczami Zachodu —* Nagy fakt.

*Fakt-Nagy, czyli ucieczka premiera węgierskiego przed komunistami straszliwie wstrząsnęła opinią anglosaską. A wiecie dlaczego ? Bo Nagy uciekając z Węgier, zapomniał zabrać ze sobą parę cennych butów do konnej jazdy. A trzeba wam wiedzieć mili demokraci, że nic tak nie przemawia do serc i rozumu Anglosasów, jak konna jazda.*

*To też nic dziwnego, że na wielkim świecie nie pisało się o tragedii Węgier, nie wspominało się o dramatycznej czystce, natomiast szpalty gazet przepełnione były wstrząsającą wiadomością o tym, że Nagy pozostał w Szwajcarii... bez butów do konnej jazdy.*

„Uzbrojona mniejszość" *— ta sama, która fabrykuje druty kolczaste w Polsce, jeszcze raz w tej okazji węgierskiej bezkarnie wykręciła się w oczach Zachodu. Zachód bowiem, mili demokraci, ślepnie i głuchnie, jak królik zaczarowany magnetycznym wzrokiem jadowitego węża.*

*Z tej zabrudzonej kłamstwem atmosfery raz po raz korzysta propaganda sowiecka, coraz bezczelniej i cyniczniej.*

*Myślę obywatele o dekrecie Najwyższej Rady Z.S.R.R., którym to wiekopomnym aktem kilka dni temu zniesiono w Rosji...karę śmierci. Towarzysz Wyszyński powiedział z tej okazji, że „dokonał się wielki akt* humanitaryzmu socjalistycznego".

*Widzicie, jak to wszystko ładnie można dzisiaj nazwać ? Komu by dawniej wpadło do głowy bojówki bolszewickie określić jako „uzbrojoną mniejszość" ? Komu by przed laty przyszło na myśl organizację łagrów, zabijających miliony przymusowych niewolników, skazanych na powolną śmierć — nazwać aktem „humanitaryzmu socjalistycznego" ?*

*Trzeba przyznać otwarcie, że przeżywana obecnie przez nas* „epoka człowieka łupanego" *sprzyja pomysłowości wszelkich nomenklaturzystów !*

*Ślepy i głuchy Zachód ucieszył się w maju* 1947 *arcyludzką postawą komunizmu rosyjskiego. Ludzie w Hyde Parku szeptali sobie : „Popatrzcie no — u nas za byle co — szubienica, a tam znoszą karę śmierci ! I gdzież ta prawda o okrutnościach sowieckich ?".*

*Mój kolega — orator z sąsiedniej paczki od mydła — z trudem dał sobie wytłumaczyć, że tam gdzie ludzie masowo umierają bez kary śmierci, zniesienie tej kary zakrawa na kpiny. Powiedział :* „Oh ! I see", *przestał się śmiać, lecz nie wiem, czy zaczął wierzyć.*

*Ale jak to oni ! Pokiwa głową, przyzna rację, a co naprawdę myśli, nawet żona się nie dowie. Bo taki jeden z drugim „dżemojad" każde słowo dwa razy przegryzie fajką, zanim przepuści przez sztuczne zęby jedną szczerą myśl.*

*Powiadam wam to, mili demokraci, że te sztuczne zęby anglosaskie i podniebienia — wszystkiemu winne. Nie rozróżniają smaku należycie : lukrecji sowieckiej od papryki węgierskiej, goryczy londyńskiej — polskiej, od warszawskiego słodu cyrankiewiczowskiego, korzeni greckich od* ersatzów *partyzanckich.*

*A wiecie dlaczego ? Bo sami nie zaznali smaku niewoli, bata i „wielkodusznej atmosfery amnestyjnej", której szczytowym osiągnięciem jest statystyka o nadprodukcji drutu kolczastego i gwoździ wbijanych do trumny narodu.*

*Do usłyszenia za tydzień, na tej samej paczce, o tej samej porze, na tym samym miejscu.*

*Wasz*

*OBYWATEL ŻĄDEŁKO*

### Takie jest prawo angielskie

# Ograniczenie praw Korony

W poprzednim numerze pisaliśmy o tradycyjnych przywilejach Korony, które obejmują bardzo rozległą dziedzinę życia, bo np. cała administracja tego kraju to są *Servants of the Crown* — słudzy Korony, a ich pozycja prawna była do niedawna tak samo uprzywilejowana, jak kilkaset lat temu. Niezbyt dawno nastąpiły w tym zakresie zmiany ograniczające przywileje Korony.

I tak najpierw „*Ministry of Transport Act*" z r. 1919 robi ministra odpowiedzialnym za szkody i za złamanie kontraktu, jak również za szkody, wyrządzone obywatelom przez jego podwładnych. Od r. 1933 Korona jest zobowiązana do zapłacenia kosztów przegranego procesu. Co więcej, w wielu wypadkach, gdy obywatel dozna szkody na skutek krzywdzącego czynu urzędnika, Korona, jakkolwiek sama nieodpowiedzialna, w praktyce staje za swym „sługą" i płaci za popełnione przez niego szkody. „*Fiat*" w prośbie o prawo rzadko obecnie bywa odmawiane.

Dalszym etapem unowocześnienia prawa angielskiego w tej dziedzinie jest projekt rządu „*The Crown Proceeding Bill*", przesłany ostatnio Izbie Lordów do uchwalenia, który przewiduje postępowanie procesowe przeciw Koronie, jak przeciw zwykłemu śmiertelnikowi brytyjskiemu. Tak więc, gdy projekt ten stanie się obowiązującą ustawą („*Act of Parliament*" lub „*Statute*"), co nie ulega najmniejszej wątpliwości, Korona będzie odpowiedzialna sądownie za krzywdzące czyny i zaniedbania swych sług i przedstawicieli (*Servants and agents of the Crown*). Spod działania tej ustawy wyłączone zostały spory, wynikłe na tle ustaw o obronie kraju, utrzymywania wojska i służby pocztowej ( z pewnymi ograniczeniami). Ustawa znosi instytucję „*Petition of Rights*" oraz inne staroświeckie formy postępowania cywilnego Korony i przeciw Koronie.

Zaznaczyć wypada, że król Jerzy VI przesłał na ręce premiera pismo, w którym oddaje prawa Korony do dyspozycji Parlamentu w związku z uchwaleniem ustawy, ograniczającej jego prawa i przywileje.

*Dr. S.*

# Wystawa obrazów F/Lt. Stefana Knappa

W galerii obrazów JABE została otwarta w poniedziałek, dn. 2 czerwca, wystawa obrazów i rysunków Stefana Knappa.

Temat stanowią wyłącznie sceny z obozów koncentracyjnych na Syberii, reminiscencje własnych przeżyć artysty, który jako osiemnastoletni chłopak przeszedł gehennę więzień sowieckich.

Około trzydzieści prac olejnych i kilkanaście rysunków składa się na całość wystawy.

Mimo młodego talentu artysta wykazał niepospolitą wyobraźnię i śmiałość w operowaniu barwami, a jego szkice zasługują na specjalne podkreślenie.

Całości wystawy dopełniają — odmienne w nastroju — znakomicie podpatrzone i pełne ekspresji sylwetki-karykatury, zwłaszcza — „Gen. de Gaulle" i „Taniec murzyński".

Wystawa znajduje się w sercu Londynu (76, Wigmore Street, W.1) i ze wszech miar zasługuje na zobaczenie.

*jfm*



# ANGLIA NA CODZIEN

## DOŃCIU DOCENIA HUMOR ANGIELSKI

Nie można powiedzieć, żeby Dońciu był entuzjastą angielskiej kuchni, ale za to on sam twierdzi, że humor angielski jest niezrównany : „Jeść ani pić nie umieją, ale *sense of humour* mają !"

Wprawdzie Dońciu opierał dotąd swój sąd jedynie na znajomości rysunków w „*Punch'u*", bo nawet napisy pod nimi przekraczają jego możliwości językowe ; nie wiele mu to przeszkadza — tłumaczy je na swój sposób i śmieje się do rozpuku.

Prawdziwą okazją poznania humoru angielskiego dla Dońcia, podobnie jak dla wszystkich, którzy nie mają dostępu do czasopism angielskich, było ukazanie się wydawnictwa — „HUMOR ALBIONU", które jest zbiorem dowcipów i anegdot tego kraju.

Siedząc wygodnie w głębokim fotelu kasynowym studiował Dońciu wspomniane wydawnictwo, czytając głośno wybrane dowcipy kolegom i uzupełniając je własnymi komentarzami : nie każdy przecież ma angielski *sense of humour*, więc trzeba pomóc kolegom zrozumieć dowcip. Na przykład ten :

*Farmer do parobka :* „Harry, zostaniesz sam na gospodarstwie na parę dni. Ja jadę z żoną na wystawę bydła w Perth".

*Parobek :* „Nagroda murowana".

— „No i gdzie tu kawał ?" — zapytał któryś z kolegów.

— „Jakto gdzie — oburzył się Dońciu — znaczy się, że zabierają ze sobą krowy do wagonu, prawdopodobnie bez biletów, bo to są Szkoci, więc skąpi. — Świetne są te kawały o Szkotach !"

Drugim odczytanym przez Dońcia dowcipem była rozmowa :

— „Obawiam się, że mój mąż jeszcze długo pobędzie w szpitalu".

— „Widziała pani doktora ?"

— „Nie, widziałam pielęgniarkę".

Tutaj i sam Dońciu namyślał się nieco dłużej i czytał dowcip kilkakrotnie. — „Rozumiem ! — zawołał po chwili — ona widziała pielęgniarkę, bo doktór był zajęty przy mężu, widocznie pielęgniarka sama nie mogła mężowi wiele pomóc, stąd przypuszczenie, że stan męża jest ciężki. — Widzicie, w każdym angielskim dowcipie jest żelazna logika, tylko trzeba mieć ten *sens of humour*, to się po nitce dojdzie do kłębka !"

Z kolei Dońciu próbował dojść do kłębka w następującej anegdocie :

*Myśliwy :* „Jak się nazywa to zwierzę, które przed chwilą zastrzeliłem ?"

*Gajowy :* „Przed śmiercią powiedział, że Johnson".

— „Kto powiedział ?" — zapytał ktoś ze słuchaczy.

— „Johnson" — wyjaśnił ktoś uważniejszy.

— „A który był Johnson — gajowy czy myśliwy ?"

— „Ani gajowy ani myśliwy, tylko zwierzę" — obruszył się Dońciu, który zdążył przeczytać dowcip jeszcze raz po cichu.

— „Zwierzę Johnson ?"

— „Naturalnie — ciągnął Dońciu. — Mój przyjaciel lord *Pees of Kayk* często mnie zaprasza na polowania na Johnsony ; oczywiście nie w sezonie ochronnym".

— „A kiedy jest sezon ochronny na Johnsony ?" — zapytał jakiś niedowiarek.

— „Lipiec i sierpień — nie tracił rezonu Dońciu — wtedy młode Johnsony się lęgną, więc się nie poluje na nie ze względów h u m a n i s t y c z n y c h. — Ten myśliwy widocznie o tym nie wiedział i strzelił do Johnsona w porze ochronnej. Ha, ha, ha — ale się zbłaźnił ! Dobry kawał !"

Jedna tylko anegdotka nie spotkała się z uznaniem Dońcia :

*Ona :* „Czy wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia ?"

*Lotnik :* „Muszę. Mam tylko dwa dni urlopu".

— „To nie żaden kawał — powiedział Dońciu — to fakt. Przecież to ja byłem".

*RAD*

## KSIĄŻKI NADESŁANE

Humor Albionu — zbiór dowcipów i anegdot angielskich, szkockich i irlandzkich. Wyd. W. Gebethner & Co., Londyn, 1947. Str. 32, ilustracje. Cena 2/9.

Wiadomości filatelistyczne — miesięcznik. Nr. 1. Cena 2/-.

*Bohdan Suchodolski :* Skąd i dokąd idziemy — przewodnik po zagadnieniach kultury współczesnej. Londyn, 1947. „Światpol". Str. 152.

*Juliusz Słowacki :* Wybór pism — poematy : Pan Bielecki — Godzina myśli — W Szwajcarii — Ojciec zadżumionych. Opracował Mieczysław Giergielewicz. Londyn, 1947. „Światpol". Str. 72.

*Zygmunt Frenkiel :* Bądź gentlemanem. J. Rolls Book Co. Ltd. Str. 149, cena 6/6.

*Zygmunt Frenkiel :* Korespondencja angielska dla Polaków. F.P. Agency Ltd. Str. 96, cena 7/6.

*Zygmunt Frenkiel :* Mów po angielsku. F.P. Agency. Str. 238, cena 12/6.

*Zygmunt Frenkiel :* Praktyczna gramatyka angielska dla Polaków. F.P. Agency. Str. 86, cena 5/6.




**WYDAJE „FIGHTING POLAND" TRUST**

**Adres Redakcji (Editorial Offices) : 52, Halton House, 20-23 Holborn, London, E.C.1. Tel. CHAncery 7747.**

**Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.**

**Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.**

**Warunki prenumeraty:** (z przesyłką pocztową) w Wielkiej Brytanii kwartalnie 8 sh., w U.S.A. i Kanadzie miesięcznie 35 c., kwartalnie $1.00 c.

**Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na „FIGHTING POLAND TRUST" pod adresem Administracji.**

**Ceny ogłoszeń : 1 cal przez jeden łam — £1 10s., ($5). Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia na pierwszej stronie w miarę wolnego miejsca o 100% drożej. Ogłoszenia drobne : jednokrotne 9d. za słowo, dwukrotne 1 sh. za słowo, trzykrotne 1 sh. 6d. za słowo. Poszukiwanie i zaofiarowanie pracy : jednokrotne 6d., dwukrotne 9d., trzykrotne 1 sh. za słowo.**

**Poszukiwania osób rodzin wojskowych bezpłatnie w miarę wolnego miejsca.**

**Adres Administracji (Business Offices): 69, Earls Court Square, London, S.W.5. Tel. : FLAxman 8600**

Printed for „Polska Walcząca" by Williams ,Lea & Co., Ltd. Clifton House. Worship Street, London, E.C.2. Registered at the G.P.O. as a Newspaper.